



# DZIS i JUTRO

ZBIGNIEW CZAJKOWSKI

## SERCE PRZEPÓLOWIONE

Okołicznosci, w jakich odbywał się tegoroczny Tydzień Kultury Polskiej w Niemieckiej Republice Demokratycznej, były szczególne. W ciągu bowiem tych kilku dni (od 17 do 25 lipca br.) zaszło tak wiele wydarzeń, ważnych nie tylko dla narodu niemieckiego, że niesposób jest pisać wyłącznie o uroczystościach i obchodach, związanych z kulturą polską i naszym świętem 10-lecia Polski Ludowej bez uwzględnienia wszystkich tych okoliczności.

Zestawmy je pokrótce. Przyjazd delegacji polskiej do Berlina wypadł w okresie wielkiej powodzi, która ogarnęła całe południowe Niemcy zachodnie, część południową NRD, a następnie zaczęła przenosić się wraz z wezbranymi falami Dunaju do Czechosłowacji, Austrii i na Węgry. Już na Ostbahnhof w Berlinie powitał nas berliński kapuśniaczek, który towarzyszył nam przez cały czas pobytu w Berlinie. Była to wprawdzie namiastka wielkiej ulewy, która trwała bez przerwy przez czterdzieści dni, ale i ona uniemożliwiła nam piesze wędrówki po odbudowanych dzielnicach demokracjonalnego Berlina, a zwłaszcza po słynnej alei Stalina. Trzeba było więc korzystać z usług aut i spoza zamazanych deszczem szyb doszukiwać się różnic i analogii z warszawskim MDM-em w tej — bezwzględnie zresztą — najpiękniejszej arterii nowego Berlina. Skutki długotrwałej ulewy spowodowanej oberwaniem się chmury i wielkich opadów śnieżnych w Alpach mieliśmy możliwość oglądać w drodze do Lipska. Wezbrane nioły Laby, Saary, Elstery pozrywały tamy, zalały łąki i pola, odcinając zupełnie wsie i miasta. Na jednym z numerów filmowej kroniki niemieckiej — Wochenschau — widziałem zdjęcia miasteczka zalanego wodą do wysokości drugiego piętra. Pala powodziowa na Labie osiągała wysokość 8 metrów, na innych rzekach, a zwłaszcza na Dunaju była jeszcze wyższa.

Zwróćmy uwagę na czas powodzi. W Turynii rozpoczęto już wtedy żniwa, podczas gdy w Saksonii ludność, oddziały policji ludowej, organizacje społeczne i polityczne walczyły o uratowanie zbiorów, zahamowanie naporu wód i prowadziły ewakuację ludności. Wielką pomoc powodzianom okazały oddziały wojsk radzieckich, a zwłaszcza saperzy radziecy. Wysoki komisarz radziecki w Austrii, podobnie jak w NRD ofiarował sumę

300 tys. szylingów jako jednorazową pomoc dla ofiar powodzi.

Trzeba podkreślić wielką sprawność organizacyjną komitetów powodziowych, które zorganizowały zbiórki odzieży i żywności. Długie kolumny samochodów ciężarowych ciągnęły do zagrożonych powodzią miejscowości wiozącą potrzebną powodzianom pomoc, we wszystkich miastach NRD działały punkty akcji przeciwpowodziowej, młodzież brała czynny udział w ratowaniu pól.

Powódź dotknęła również Niemcy zachodnie. Straty z powodu wylania Dunaju, Innu, Izary i innych rzek były nie mniejsze niż w NRD. Słyszałem w rozmowach z przybyszami z Niemiec zachodnich o miastach, które oblane naokoło wodą, przez wiele dni tworzyły odcięte od świata wyspy. Ilość ofiar powodzi nie była jeszcze ustalona. Straty szacowano na setki milionów marek.

Dość symbolicznie w tych okolicznościach wyglądała pomoc ludności niemieckiej, zamieszkującej w NRD dla ludności niemieckiej w Niemczech zachodnich. W ciągu jednego tylko dnia komitety powodziowe zebrały np. w okręgu lipińskim dla ofiar powodzi w Bawarii 45 tys. DM, w Magdeburgu — 95 tys. DM, w Poczdamie 110 tys. DM.

Jest niewątpliwie paradoksalne, że wspólne nieszczęście — powódź, stanowiąca tragedię dziesiątek tysięcy ludzi, spowodowała a raczej powiodła — przyspieszyła — manifestację jasnego w tych pomyślnych deszczowych dniach aktu jedności narodu niemieckiego. Na ten fakt zwrócił uwagę w swym przemówieniu w Berlinie sekretarz generalny wschodniej CDU, Gerard Götting, który wyrażając w imieniu partii i narodu niemieckiego protest z powodu wyboru Heussa, na prezydenta bońskiej republiki, porównał nieszczęście powodzi do drugiego nieszczęścia, gromiącego Niemcom — do wojny. Powódź — wyraził się Gerard Götting — ukazała tragedię rozbięcia Niemiec i trudności wspólnego przeciwstawienia się żywiołowi, ale również ukazała rysującą się ideę jedności. Jedność ta, oparta na demokratycznych zasadach, ma wszelkie szanse oparcia się nowej powodzi — wojnie.

### DWIE STRONY BRANDEBURSKIEJ BRAMY

Przemówienia Göttinga słuchałem na placu Marksa-Engelsa, pod-

czas manifestacji przeciw wyborowi Heussa. Pod trybunami rozciągało się morze głów. Nie mam wprawy w ocenie ilościowej tak wielkiej demonstracji, fachowcy jednak szacowali ilość manifestujących ludzi na 200 tys. Sztandary, transparenty, portrety przepłatały się z falującym tłumem. Niemiecy koledzy wskazywali mi na spóźnione grupy, które rozwijając sztandary i transparenty, dołączały się do demonstracji. Było ich coraz więcej. Zaczęłam z daleka odcyfrowywać nazwy: Tempelhof, Kreuzberg, Steglitz, Charlottenburg, Wilmerdorf, Spandau, Tiergarten... Wszystkie przybywały z zachodniego sektora Berlina. Było to moje pierwsze zetknięcie się z Niemcami z Zachodu. W dali, na osi Unter den Linden, widniały zarysy Brandenburskiej Bramy, za którą rozciągał się już Berlin zachodni.

Manifestacja ta wywarła na mnie duże wrażenie. Potwierdziła bowiem tezę o sztuczności rozdźwięku Berlina, o rosnącym ruchu postępowym i protestacyjnym przeciw remilitaryzacji i wojnie w Niemczech zachodnich, o coraz większym zainteresowaniu ludności Republiki Federalnej krajami tzw. Wschodu, wymianą towarową i kulturalną ze Związkiem Radzieckim i krajami demokracji ludowej. Np. w związku z przygotowywanym w Polsce konkursie chopinowskim, który odbył się w roku przyszyły w Warszawie, został ogłoszony w NRD konkurs na plakat propagandowy. Udział w nim zgłosiło oprócz grafików NRD również 229 wybitnych artystów z Niemiec zachodnich.

Trudno ten fakt nazwać pełnym „włączeniem się” tych czy innych ludzi z Niemiec zachodnich do walki przeciw wojnie, przeciw amerykańskiej polityce utrzymania rozdźwięku Niemiec i przeciw Adenauerowi. Jednak takie symptomy, związane, nieporozumienie, z czasem coraz częściej, stanowią ferment, który wskazuje Niemcom z Zachodu ich błędą, fatalną drogę. Okazuje się, że coraz więcej ludzi w zachodnim Berlinie czy w Republice Bońskiej zaczyna sobie zdawać sprawę z kierunku tej drogi. Przytoczę jeszcze jeden przykład takiego spotkania, tym razem już bezpośrednio z Niemcami z Kolonii.

22 lipca, w dniu 10-lecia Polski, Front Narodowy w Lipsku zorganizował uroczystą akademię, poświęconą Polsce Ludowej. Nastrój uroczysty — kwiaty — polskie fla-

gi — część wokalna akademii poświęconą muzyce polskiej. Referat zasadniczy, omawiający osiągnięcia społeczno-gospodarcze Polski Ludowej wygłosił Austriak o węgierskim nazwisku — dr Ivor Nagy. Referat świetny, błyskotliwy, bez przerostu liczb i wskaźników, które — jak mogłem to zaobserwować na innej już akademii, na Dworcu Głównym w Lipsku — wcale nie są obce niemieckim aktywistom — został ujęty w formie osobistych wrażeń referenta wyniesionych z kilkakrotnych pobytów w Polsce. Przyznam się, że dość osobliwie brzmiały później w sali moje polskie słowa, tłumaczone słuchaczom na język niemiecki. Wydaje mi się, że wybrałem słuszną melodię, gdyż na pewno moja niewprawa niemiecka nie wywołałaby tego późniejszego, secedecznego nastroju.

Po zakończeniu akademii w sali powstało jeszcze kilkanaście osób. Między nimi znalazł się malarz z Kolonii, który nazkicował w swym szkicowniku fragment uroczystości wręczenia kwiatów przez dziewczęta FDJ przedstawicielce polskiej młodzieży. I to on w rozmowie ze mną nazwał swój kraj, Niemcy, przepołowionym sercem. Wydaje mi się, że ma rację.

TADEUSZ PAJDA

## ZMARTWIENIA Mr KNOWLANDA

KONFERENCJA Genewska została zwołana — po przewyższeniu oporów stawianych przede wszystkim ze strony Stanów Zjednoczonych — w celu załatwienia problemu koreańskiego i przywrócenia pokoju w Indochinach. Takie było jej założenie, lecz skutki — dzięki rozumnej polityce przedstawicieli obozu pokoju — każą wysnuć o wiele szersze uogólnienia. Obok niewątpliwego sukcesu porozumienia i wynikających stąd doniosłych precedensów dla rozwiązywania wszelkich konfliktów międzynarodowych drogą swobodnej wymiany zdań i poglądów przedstawicieli różnych orientacji polityczno-ustrojowych — Genewa dostarczyła obozowi pokoju w polemicznie ze zwolennikami „polityki siły” szereg ważkich argumentów. Jednym z nich — chyba najważniejszym — jest wzrost autorytetu moralno-politycznego państw obojętnych przedobrażeniami rewolucji socjalistycznej. Ten niezaprzeczony fakt uwidacznia się szczególnie na przykładzie Chin Ludowych, które — obok Związku Radzieckiego — głównie zadecydowały o sukcesie genewskiego spotkania.

Chiny — ten olbrzymi kraj azjatycki o sześćset milionowej ludności — mimo swoich tysiącletnich tradycji, już od stuleci nie odgrywały większej roli w kształtowaniu stosunków międzynarodowych. Dopiero rewolucja socjalistyczna przywróciła temu narodowi należne miejsce w świecie. Ale wielu ludzi — a wśród nich bardzo wielu polityków burżuazyjnych — nie doceniło tych wszystkich zmian, jakie zaszły w Chinach od czasu, kiedy dolarowy dyktator Czang Kai-szek odstąpił na okupowanym Tajwanie.

Obecnie sytuacja — w dużej mierze dzięki Konferencji Genewskiej — wygląda zupełnie inaczej. Dziś Chiny stały się, obok Związku Radzieckiego, symbolem wielkiej idei, sprawy nie tylko wygranej lecz — co ważniejsze — sprawy słusznej. Żeby sobie tę oczywistą prawdę uzmysłowić, wystarczyło wcztać się w szpalty wielu zachodnich reakcyjnych pism, które dopiero w lipcu 1954 roku odkryły... Chiny.

W NUMERZE: Szymon Dereń: U kresu wojny; Tadeusz Myślik: Problemy wymagające przedyskutowania; Witold Ostrowski: Polak z załogi „Torrens”; Juliusz Domański: Po zjeździe Filologów; Jan Stefański: W stronę historii; Zdzisław Łączkowski: Pieśń powszednie; Danuta Paszkiewicz: Visitez le Congo Belge; Leszek Prorok: Po sezonie.



Hilda Krahl w roli Berthy von Suttner w rewelacyjnym filmie niemieckim pt. „Herz der Welt”, którego tematem jest walka przeciw wojnie

### PYTANIE RETORYCZNE

Niemcy leżą rzeczywiście w środku Europy. Mogą się nazywać przez snobizm albo przez patos — dość zresztą często u nich spotykaną manierę — sercem Europy, przepołowionym sercem. Nie chodzi w tym wypadku o rację „państwową” — wydaje się jednak oewne, że dopóki sprawa jedności Niemiec

nie zostanie rozwiązana tak, jak proponuje to Związek Radziecki, nie zostanie rozwiązany też problem pokoju w Europie. I to jest racja „polityczna” sprawy niemieckiej.

Każdy problem polityczny wydaje się niektórym z nas bliski wtedy, gdy dotyczy bezpośrednio naszego kraju. Jest to oczywiście o-

(Dokończenie na str. 6)



Berlin. Fragment Alei Stalina



Ziemię na zawsze zespólone

KIEDY przed dziesięcioma laty w niedużym mieście Lublinszczyzna odczytano po raz pierwszy słowa Manifestu — wolność była już blisko. Chodziliśmy wtedy ulicami Lublina raz po raz odczytując na nowo te wypłowiałe lipcowym słońcem afisze z zapowiedzią tak doniosłych zmian.

Cieszyliśmy się ciężko wywalczoną wolnością, ale nie wszyscy z nas wierzyli w realność tych heroiczyńskich zamierzeń Manifestu. Ludziom, u których świadomości nie zatępił się jeszcze widok zmaltretowanych ciał ludzkich za obozowymi drutami — nie było łatwo uwierzyć w te radosne nowiny, nie łatwo było uwierzyć choćby w fakt, że po wiekowej niewoli i odciętaniu od macierzy nasze Ziemię Zachodnie wraz z półtoramilionową ludnością polską — która w tak trudnych czasach zachowała oczystą język i obyczaj — że ziemię tę w niespełna rok po historycznym Lipcu 1944 wrócą do pełnej jedności z resztą ojczystego kraju.

Przecież wówczas w położonej niedaleko Wrocławia Rogoźnicy istniała jeszcze katownia — Gross-Rosen... Słowa Manifestu wkrótce znalazły pokrycie w faktach. Wrocław, Szczecin i Olsztyn — wróciły do ojczyzny. Ochrzynie polskie odzyskanych po wiekach ziem zrujnowanych wojną i niszczytelką ręką hitlerowców — zostały zagospodarowane.

Nie ma już dziś w Polsce ludzi, którzy nie rozumieli by dotychczas tego wielkiego aktu zespolenia. Polskie Ziemię Zachodnie techną już pełnym życiem. Zagospodarowaliśmy odłogi, uruchomiliśmy fabryki i porty, zorganizowali życie kulturalne. Na zachodnich rubieżach Polski rozwija się dziś coraz pełniej życie katolickie. Powstają zbiorne świątynie, seminaria duchowne co rok wychowują nowych duszpasterzy, wzrasta świadomość społeczno - obywatelska duchowieństwa i wiernych. Wyrazem takiego stanu rzeczy jest — oprócz żyjących widocznych dla każdego dowodów — ogłoszone w 29 numerze Wrocławskiego Tygodnika Katolickiego oświadczenie stu osiemnastu księży diekanów z naszych zachodnich diecezji, dające świadectwo prawdziwe o rozwoju tych ziem i nierozdzielności ich zespoleniu z macierzą. W oświadczeniu, tym czytamy m. in.:

„Żyjąc życiem swego narodu widzieliśmy jak z każdym dniem coraz bardziej owocny stawał się trud polskiego włodarzenia na Ziemiach Odzyskanych. Tworząc, nieustępliwym wysiłkiem polskiego ludu nie tylko przywrócone zostało życie istniejącym fabrykom i zakładom przemysłowym, ale podjęta została poważna ich rozbudowa, tak, aby mogły one sprostać zadaniom stojącym przed polskim przemysłem...”

„Wrosło życie polskie w tę ziemię. Nie stęży ona już dziś jako baza wypadowa dla zwirowanej agresji i przemocy, ale polski zwiółkiem zaludniona żywi naród pragnący bytować w pokoju, lud krzątający się wokół pomnażania tego, co dobre i szlachetne, co daje człowiekowi możliwość lepszego i godniejszego życia...”

„Wraz z powrotem życia polskiego na te ziemie — rozwinął się tu z nową siłą katolicyzm. Na głos dzwoniący zapewnienia się kościoły naszych wsi i miast, dając całemu światu niezachwiane świadectwo, że wiara święta poprzez wielki ucisk wraz z mową ojczystą jako najdroższy skarb przez polski lud miejscowy przechowana — dziś rozkwitła na tych ziemiach z nowym, bujnym rozmachem.

Wielka i wymowna jest prawda dokonana tego dziesięciolecia. Daje ona świadectwo rozwojowi naszego życia a w tym również wielkiemu rozkwitowi życia religijnego na polskich Ziemiach Zachodnich. W świetle tych dokonania dziesięciolecia, dziesięciolecia będącego historycznym potwierdzeniem nierozdzielnej jedności Ziemi Zachodnich z Macierzą, tym wyraźniej uidać, iż nic nie może być sprawiedliwszego, by uprawnionemu postulatowi katolicyzmu polskiego stało się zadość, by erygowane zostały diecezje na naszych Ziemiach Zachodnich odpowiadające nienaruszalnym, nowym granicom państwa polskiego oraz ustanowione regularne rządy polskich biskupów.

Wielkie dokonania naszej Ludowej Ojczyzny, ostateczne zespolenie Ziemi Zachodnich z Macierzą tworzone było wysiłkiem całego narodu. Niech więc rzesze ludzi wierzących, spoglądając z dumą na rezultaty swej pracy tym silniej umacniają gospodarne władanie naszego narodu na tej ziemi, do której wróciliśmy, jako pełnoprawni gospodarze...” T. P.

U K R E S U W O J N Y

WYDANY niedawno tom szósty i ostatni tom pamiętników Churchilla nosi bardzo znamienity tytuł: „Triumf i tragedia”. Tytuł ten już z góry wskazuje na ocenę wyjściową autora, sprzeczającą się do tego, że — pomimo kłeski imperializmu hitlerowskiego — ciężkie, sześćdziesięcioletnie zmagania skończyły się dla Wielkiej Brytanii niepowinnością. Tekst książki świadczy niewątpliwie, że dla Churchilla niepowodzenie to polegało bynajmniej nie na tym, iż Anglia wyzła z wojny bardzo osłabiona i w związku z tym stoczyła się do roli słabszego partnera swego sojusznika a zarazem konkurenta — Stanów Zjednoczonych. Mówiąc o „tragedii” Churchilla ma przede wszystkim na myśli fakt ogromnego wzmożenia się roli i znaczenia na arenie międzynarodowej Związku Radzieckiego i odpadnięcie od systemu kapitalistycznego krajów Europy wschodniej, co przekreśliło jego nadzieje na powetowanie sobie na nich strat poniesionych w stosunku do Amerykanów.

Przystępując do II wojny światowej rząd brytyjski miał dwa cele: usunięcie niebezpieczeństwa wynikającego z pretensji hitlerowców do hegemonii politycznej i gospodarczej w Europie, a nawet na kontynentach afrykańskim i azjatyckim, oraz skierowanie uderzenia III Rzeszy na Związek Radziecki, aby z tych zapasów obie strony wyszły możliwie wyczerpane i osłabione. Mogłoby to pozwolić na obalenie ustroju socjalistycznego w ZSRR oraz na podporządkowanie sobie krajów Europy wschodniej. Rządzące sfery brytyjskie gotowe były podzielić się owocami tak uzyskanego ostatecznego zwycięstwa ze Stanami Zjednoczonymi, z tym jednak, aby nad światem zapanował duumvirat mocarstw anglosaskich.

Ostatni tom pamiętników jest znacznie bardziej niż poprzednie nie tyle książką historyczną, ile elaboratem publicystycznym dostosowanym do potrzeb polityki bieżącej. Pod osłoną pięknych słówek o swej miłości do narodu amerykańskiego i radzieckiego oraz o trosce zapewnienia pokojowej współpracy między narodami, autor atakuje przede wszystkim politykę radziecką, a równocześnie — w sposób znacznie bardziej zawaolowany — wymierza ciosy w kierunku swego partnera amerykańskiego, starając się insynuować odwetomowi niemieckim i reakcyjnym emigrantom politycznym z krajów Europy wschodniej, że to ówczesna „ustępliwa i krótkowzroczna” polityka amerykańska doprowadziła do szkodliwego dla nich powstania potężnego obozu pokoju i demokracji. Pod adresem własnego społeczeństwa Churchill dodaje, że gdyby nie wyniki wyborów, które pozbawiły go władzy i powierzyły na drugim etapie Konferencji Poczdamskiej reprezentację interesów brytyjskich ekipie ludzi niezorientowanych należących w sprawach międzynarodowych — już wówczas doszłoby albo do zmuszenia Związku Radzieckiego do zasadniczych ustępstw, albo do wyraźnego zerwania z nim w warunkach dogodniejszych niż obecnie.

Dostatecznie wymowny i charakterystyczny jest cytowany przez samego Churchilla ustęp z jednego z jego pierwszych listów do obejmującego dopiero urzędowanie nowego prezydenta USA — Trumana: „Dając, jak ja to robię, do trwałej przyjaźni z narodem rosyjskim, jestem pewien, że może to być osiągnięte tylko na podstawie uznania przez niego siły anglosaskiej”.

W sprawach walki z komunizmem Churchill zawsze łatwo znajdował wspólny język ze swymi partnerami amerykańskimi. Natomiast z podanej w Pamiętnikach korespondencji między Churchilllem a Rooseveltem wynika, że — w miarę zbliżania się końca wojny — Amerykanie coraz mniej liczyli się z potrzebami i interesami swego sojusznika brytyjskiego i coraz bezwzględniej narzucali odpowiadający własnym celom punkt widzenia. Między liniami tej korespondencji można wyczytać, że pozycja Wielkiej Brytanii słabła coraz bardziej, a nawoływania Churchilla znajdowały coraz chłodniejsze przyjęcie. Autor stara się to pokryć twierdzeniem, że postępująca choroba Roosevelta uniemożliwiała mu już coraz bardziej osobiste zajmowanie się wszystkimi sprawami, toteż do głosu dochodził Departament Stanu i sztaby amerykańskie, znacznie mniej skłonne liczyć się z postulatami Anglii.

Specjalną pretensję ma Churchill do stanowiska amerykańskiego w sprawie stosunków sojuszniczych ze Związkiem Radzieckim przy końcu wojny. Twierdzi, że dyplomacja amerykańska zupełnie wyraźnie chciała wykorzystać zastraszającą się rozbieżności radziecko - brytyjskie dla odgrywania roli arbitrującego pośrednika, zapewniając sobie w ten sposób decydujący wpływ na politykę światową. Dziś jest akurat odwrotnie. Manewrująca taktyka Roosevelta należy już do dalekiej przeszłości. Teraz to właśnie Wielka Brytania chciałaby wzmocnić swą pozycję wobec przysięgniętego swą potęgą sojusznika amerykańskiego za pomocą swego rodzaju akcji pośredniczej między obecnie już jawnie agresywnymi Stanami Zjednoczonymi a obozem pokoju i demokracji.

Wówczas to Churchill reprezentował najbardziej jaskrawą politykę antyradziecką, a pisząc swe pamiętniki na użytek chwili obecnej wytyka Amerykanom, że nie wykorzystali okazji, jaka się nadarzyła, aby w okresie Konferencji Poczdamskiej nie dopuścić do wzmożenia się obozu postępowego. Okazją tą było według niego wyprodukowanie pierwszej bomby atomowej.

Na wiadomość o tym Churchill z punktu wystąpił z koncepcją nie dopuszczenia Związku Radzieckiego do uregulowania spraw Dalekiego Wschodu oraz wstrzymanie się, wbrew wyraźnej umowie, od wywakuowania wojsk amerykańskich i angielskich z zony na wschód od Elby przeznaczonych już poprzednio jako część składowa radzieckiej strefy okupacyjnej w Niemczech. Wstrzymanie to miało być jednym z autów w grze zmuszającej do przyjęcia punktu widzenia mocarstw anglosaskich w sprawie niemieckiej.

Rząd amerykański nie przyjął wówczas propozycji Churchilla, gdyż zdawał sobie sprawę, że taktyka prowadząca do jawnego zerwania ze Związkiem Radzieckim będzie w danym momencie wyraźną prowokacją w stosunku do opinii publicznej, entuzjastycznie witającej zwycięstwa radzieckie. Amerykańskie sfery rządzące uznały, że przejście do akcji otwarcie antyradzieckiej musi być poprzedzone kampanią przygotowawczą w postaci propagandowego urabiania opinii insynuacjami o rzekomym „imperializmie rosyjskim” oraz stopniowego pozyskiwania sobie odwetowców niemieckich. Ta właśnie decyzja amerykańska w Poczdamię daje dźwięk Churchillowi asumpt do sugerowania, iż ówczesna polityka amerykańska była zbyt „proradziecka” i że wobec tego Stany Zjednoczone ponoszą winę za trudności, przed którymi stoją mocarstwa bloku atlantyckiego.

Sa to więc podyktowane chwilą obecną „spory domowe” sojuszników anglosaskich. W rzeczywistości i wówczas polityka amerykańska była, przy pewnych rozbieżnościach taktycznych, nie mniej antyradziecka, niż ta, którą głosił Churchill. Najlepszym tego sprawdzianem jest jedna z najbardziej pokazowych dla ówczesnych stosunków ze Związkiem Radzieckim spraw, a mianowicie grająca tak dużą rolę w ostatniej fazie wojny sprawa polska.

Churchill poświęca jej w ostatnim tomie swych pamiętników bardzo dużo miejsca. Opisuje szczegółowo i niezmierznie tendencyjnie stosunki rządu emigracyjnego ze Związkiem Radzieckim, sprawę powstania warszawskiego, dyskusje nad problemami polskimi na Konferencji w Jaltce, zasadnicze uregulowanie tam zagadnienia wschodnich i zachodnich granic Polski, rozbieżności brytyjsko - radzieckie w sprawie wykonania uchwał jaltańskich dotyczących pośrednictwa przy tworzeniu Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej oraz sprawę granicy na Odrze i Nysie na Konferencji Poczdamskiej.

Czytając te rozdziały łatwo się przekonać, że pisząc je Churchill stał przed trudnym, bo sprzecznym zadaniem. Z jednej strony chciał się bronić przed zarzutami wysuwanymi pod jego adresem ze strony protegowanej przez niego polskiej emigracji w Londynie, że zdradził jej interesy wbrew solennej obietnicy, „iż przy załatwianiu powojennej organizacji świata będzie jej adwokatem”. Z drugiej strony usiłuje pogodzić swe deklamacje o życzliwości dla narodu polskiego z tłumaczeniem swym dzisiejszym partnerom z grona odwetowców zachodnio - niemieckich, iż nigdy nie zgadzał się na linię graniczną wzdłuż Odry i Nysy.

Obiecując rządowi emigracyjnemu, iż będzie bronił jego interesów jak swoich własnych, Churchill naturalnie nie powodził się altruizmem i względami idealistycznymi, jak usiłuje to dziś przedstawiać. Po prostu oddanie władzy w powojennej Polsce marionetkom brytyjskim było istotną częścią składową dążenia rządu angielskiego do politycznej dominacji w krajach wschodniej Europy i przekształcenia Polski w przyczółek wypadowy przeciwko ZSRR. Stąd niezmienna chęć restaurowania w Polsce rządów przedwojennych, a następnie, po powstaniu Polski Ludowej, konsekwentne starania narzucenia rządu burżuazyjnego pod firmą koalicji wszystkich stronnictw. Spór brytyjsko - radziecki o realizację uchwał jaltańskich w sprawie Rządu Tymczasowego sprawował się do tego, że Churchill pragnął dać w nim przewagę elementom antyludowym, które gotowe były stać się wyrazieli interesów imperializmu brytyjskiego w Polsce.

Widząc, że w ówczesnej sytuacji politycznej nie może liczyć na zaistnienie w Polsce rządu wyraźnie antyradzieckiego, Churchill godził się pozornie na wysuwanie przez swego sojusznika radzieckiego tezę, że w Rządzie Tymczasowym mogą brać udział tylko politycy uznający konieczność współpracy politycznej i gospodarczej między Polską a ZSRR, oraz stwierdzający gotowość uznania statutu terytorialnego ustalonego w Jaltce. Na dalszą mełą liczył on jednak, że

jeżeli władzę obejmą ludzie typu Mikołajczyka, to w praktyce prowadzić oni będą politykę taką, jaką im podyktują mocarstwa anglosaskie.

Potwierdza to całkowicie obzer-na (cytowana w Pamiętnikach) korespondencja Churchilla z Rooseveltem na temat sprawy polskiej. Gdy wyplłynął problem powołania do konsultacji przy tworzeniu Rządu Tymczasowego również paru polityków prawicowych z kraju, premier brytyjski pisał: „Byłby to krok w pożądanym kierunku, lecz nie zaspakajałyby naszego powoływania się na postanowienia konferencji krymskiej”, dodając przy tym, że podstawową rzeczą jest, aby kierownicze stanowisko w rządzie objął Mikołajczyk.

Churchill zwraca parokrotnie uwagę Roosevelta, iż trzeba się spieszyć z finalizowaniem sprawy rządu koalicyjnego w Polsce, gdyż z każdym dniem siły i wpływy „władz lubelskich” wzrastają, a więc „ryzykujemy, że zostaniemy wyeliminowani z wszelkich wpływów w tej części Europy”. Dlatego Churchill gorątkowo nalegał na Mikołajczyka, aby ogłosił on deklarację stwierdzającą, iż jest zwolennikiem współpracy polsko - radzieckiej i uznaje uchwały Konferencji Jaltańskiej w sprawie granic Polski, następnie zaś zapewniał w swych listach Stalina, iż może całkowicie

wierzyć w dobrą wolę Mikołajczyka.

W sprawie granicy na Odrze i Nysie wywody Churchilla są bardzo mętne, gdyż w rzeczywistości już w Teheranie i Jaltce wyrażał zgodę na takie właśnie załatwienie sprawy granicy polsko - niemieckiej. Tymczasem dzisiaj chciałby wytłumaczyć kołom rewizjonistycznym zachodnio - niemieckim, z którymi się wiąże w ramach polityki „atlantyckiej”, że był zawsze przeciwny tej granicy. Już w poprzednim tomie pamiętników pisał, że jakoby nie wiedział wówczas o istnieniu dwóch Nys i rozumiał, że w grę wchodzi linia wzdłuż Nysy wschodniej. Obecnie twierdzi, że stał zawsze twardo na stanowisku takiej właśnie interpretacji linii Odry i Nysy, lecz jednocześnie pisze, że występował wtedy z tezą, iż jedynie słusznym rozwiązaniem będzie przyznanie Polsce tylko części Prus Wschodnich i Górnego Śląska po Odrę, bez Wrocławia i Szczecina.

Churchill bardzo szczegółowo przedstawia swe wystąpienia w sprawie granicy polsko - niemieckiej w pierwszej części Konferencji Poczdamskiej, kiedy był na niej reprezentantem rządu Wielkiej Brytanii, i stara się wykazać, iż nigdy nie zgodziłby się na legalizację ustalonego tam później statutu gra-

niczności. Z podawanych jednak przez niego przemówień i argumentów wynika, że nie tyle był przeciwny samej linii granicznej na Odrze i Nysie, ile chciał narzucić Polsce kapitulancie warunki dostaw węgla i zboża pod pretekstem konieczności wyżywienia przesiedleńców niemieckich w brytyjskiej i amerykańskiej strefie okupacyjnej oraz związaną z tym kontrolę mocarstw zachodnich nad gospodarką Polski. Był to więc plan mający na celu gospodarze uzależnienie naszego kraju przez kapitalistów anglosaskich, który Churchill wysunął z chwilą, gdy nie udało się próbom narzucenia nam zależności politycznej. Wysiłki te rozbiły się o stanowczą postawę delegacji radzieckiej, która twardo i konsekwentnie broniła naszych interesów...”

Pamiętniki kończą się pilatowym umyciem rąk: „Gdybym ja był do końca w Poczdamię, wszystkie poszłoby inaczej”. Lecz z wywodów autora wynika jasno, że to właśnie potępiane przez Churchilla uchwały poczdamskie zrealizowały nasze aspiracje narodowe i stworzyły międzynarodową podstawę pod naszą dzisiejszą pracę nad budową lepszej przyszłości.

\*) Winston S. Churchill. The second world war. volume VI. Triumph and Tragedy. London 1954. Cassell and Co. str. 716.

TADEUSZ MYŚLIK

Dyskusja o kapłania społecznie postępowym

PROBLEMY WYMAGAJĄCE PRZEDYSKUTOWANIA

BARDZO trudno jest działaczowi społecznemu, który pracuje w terenie ująć w ramy artykułu — sprawy, których dyskusji podległyby dziesiątki, a może nawet setki rozmów, sprawy, które wyrastają na progu każdej polemiki, każdej wymiany zdań. O ile więc trudno jest pisać o sprawach, którymi żyje się na codzień, to jeszcze trudniej jest o tym milczeć.

Jaka jest geneza istniejącego stanu rzeczy? Dlaczego zawodzi często ci, którzy najbardziej autentycznie przeżywają swoje powołanie kapłańskie — neoprezbiterzy, którzy powinni wnosić do katolicyzmu wkład najbardziej żarliwego i rozumnego poświęcenia? I tu nasuwa się oczywista, chociaż może bardzo uproszczona — odpowiedź: w okresie kiedy kształtowała była ich sylwetka księży, nie zostali oni „zaszczepieni na rzeczywistość” lub „zaszczepieni” w sposób niedostateczny. Nie przygotowano ich do pracy właśnie w konkretnych, istniejących obiektywnie warunkach. Wychowani zostali jak cieplarniane roślinki — pod kloszem, w izolacji od otaczającego ich świata.

Toteż ma rację Wojciech Kępczyński sygnalizując niebezpieczeństwo zajmowania przez księży o niepogłęblonych poglądach i niewyroblonych przekonaniach — postawy oportunistycznej. Życie dostarcza tu niestety szeregu bardzo dramatycznych przykładów. Tragiczną skrajnością jest również to, że czasem młody, najbardziej potencjalnie wartościowy kapłan, tożsamią, w wyniku otrzymanego wychowania, drogę do świętości — jako drogę łamania praw własnego kraju. Jak dalece nie rozumie taki błędny, młody ksiądz, istoty Ewangelii, jak dalece nie rozumie, że Kościół jest naprawdę dla wszystkich czasów i dla wszystkich ustrojów. Być może, że przytoczone przykłady nieco tendencyjnie przejaśkrawiam, jednym jednak z dowodów na prawdziwość tego, co napisałem powyżej, jest chociażby zbyt niski procent księży młodych wśród uczestników wszelkich akcji organizowanych przez ruch społecznie postępowy.

Zwykłe tak się dzieje, że jednostki słabe uciekają przed rzeczywistością, starają się od niej na wszelkie możliwe sposoby izolować. Dokonując się w naszym kraju przemiany społeczno - gospodarczej znajdują bezsprzecznie swój wyraz w życiu parafii. W kontaktach osobistych księży z wiernymi, w konfesonale i na ambonie — ksiądz bardzo często musi wyjaśniać stosunki takich czy innych spraw do tego, co Kościół święty do wierzenia podaje. Jak może zadaniu temu sprostać np. ksiądz, którego zainteresowania ograniczają się — powiedzmy — do sprawy... posłania własnego motocykla oraz czytania czasopisma „Motor”, bardzo zresztą dobrze redagowanego, ale nie mogącego zastąpić księdzu lektury, gazet i czasopism. Wypadek

powyższy nie jest fantazją, ale wzięty został spośród wielu podobnych. W cytowanym wyżej wypadku rozmówca mój — ksiądz, był trzy lata po święceniach, to jest w okresie, na który przypada pełny rozwój intelektualny.

Niejeden z czytelników przypomni sobie na pewno własną pogof z wieścią, dodatkowe, nadobowiązkowe przedmioty dopisywane w indeksie uniwersyteckim oraz długie dyskusje. Jakże istotnie kontrastują tamte, nie tak znów rzadkie przecież wypadki z intelektualnym impasem, w którym znajduje się niestety duża część młodych księży. W wyniku tego faktu pogłębia się dysproporcja pomiędzy takim stanem rzeczy z jednej strony, a olbrzymim wzrostem w Polsce Ludowej — na przestrzeni Dziesięciolecia — oświaty i kultury. W najdalszych zakątkach kraju wzrosła w ogromnym stopniu świadomość i zmieniła się mentalność parafian.

Jest rzeczą konieczną, aby dostarczający ten proces rozwojowy społeczeństwa — księży, wypracowali odpowiednie formy pracy. Rozwiązania wymagają takie problemy, jak język kazań, zagadnienie samokształcenia duchowieństwa itp. Nie można bowiem zatrzymać się w rozwoju, kiedy dynamika otaczającego nas świata rozsadza stare ramy. Ogromną rolę mają tu do spełnienia organizowane przez Komisję Krajową Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich Dni Społeczne, które odbywają się do tej pory w Halinie pod Warszawą.

KSIĄDZ społecznie postępowy musi jednak nie tylko wykonywać swoje obowiązki duszpasterskie w konkretnych istniejących warunkach oraz wypracowywać nowoczesne środki apostołatu. Musi on równocześnie żyć życiem swojej parafii. W tej kategorii zadań, zadań wynikających integralnie z aktualnej problematyki ogólnonarodowej, mieści się sprawa rozwoju rolnictwa, która stawia postępowemu księdzu zadanie oddziaływania przykładem, zachętą, wskazówką i pomocą. Umiejętne, wychowawcze propagowanie zadań stojących przed naszym rolnictwem jest w równej mierze obowiązkiem społecznym postępowego polskiego duchowieństwa u progu drugiego dziesięciolecia Polski Ludowej, jak niegdyś szerzenie wiedzy rolniczej i postępu technicznego w rolnictwie, którą to misję pełnił Benedyktyni czy Cystersi zapisali chlubną kartę w historii cywilizacji w Polsce. Chciałbym tu zwrócić uwagę na pozytywny przykład zrozumienia przez postępowego duchowieństwo swoich obowiązków społecznych. Chodzi mi mianowicie o księży z powiatu olkuskiego, którzy w znacznej większości zajęli czynną, twórczą postawę w stosunku do wspólnych spraw, którymi żyje ich własna parafia. Księża ci nie tylko uaktywnili się społecznie na swoim terenie, ale stali się motorem, inspiраторami podobnej

aktywizacji księży daleko poza granicami powiatu olkuskiego (patrz numer specjalny „Słowa Powszechnego” poświęcony sprawom powiatu olkuskiego i następnym). Być może, że jest jeszcze zbyt wcześnie na uogólnienie tego wielkiego eksperymentu, jakim jest zainicjowana przez „Słowo Powszechno” i partia w całej rozciągłości przez miejscowe duchowieństwo — akcja olkuska, dotychczasowe jednak jej wyniki pozwalają mieć nadzieję na jej dalszy i pozytywny rozwój.

WŁACZAJĄC się do zainicjowanej przez redakcję tygodnika „Dzisiaj i Jutro” dyskusji, pragnę podkreślić, że głównymi kierunkowymi działalnością księży społecznie postępowego winny być:

1) ofiarna praca duszpasterska w istniejących konkretnie warunkach społecznych, uwzględniająca współczesne metody apostołatu, wzrost świadomości wiernych oraz postawa przelamywania trudności;

2) konkretna praca społeczna, mająca na celu przyspieszenie osiągnięcia powszechnego dobrobytu, przyspieszenie tempa budownictwa, rozwoju rolnictwa itp.;

3) praca samokształceniowa oraz praca uświadczeniowa nad przemianą postawy niechętelnej wobec współczesnej polskiej rzeczywistości oraz likwidacji postawy konserwatywnego społecznego zarówno u niektórych księży-sąsiadów jak i u niektórych parafian.

Wszystkie te kierunkowe są bardzo ważne — pomimo, że pierwsza z nich dotyczy duszpasterstwa, a dwie dalsze społecznej strony zagadnienia. W tym miejscu zaznaczyć należy, że w pracy społecznej niesłyszanie ważne jest zerwanie z deklaratywnym. Istnieje typ księdza - deklaranta. Zjawisko bardzo smutne, ponieważ trudno jest pomyśleć nawet, że mogło ono powstać. W pracy społecznej chodzi o konkretne działanie, a nie o zebraniowość czy deklaracyjność. Ksiądz postępowy powinien zobowiązać formy pracy nad przemianą reakcyjnej mentalności ludzi znajdujących się w zasięgu jego oddziaływania, podobnie jak czyni to ruch w skali ogólnopolskiej — nie ograniczając swojej działalności do zebrania.

I wszędzie jeszcze jeden problem wymaga przedyskutowania. Jest nim utrzymująca się do niedawna opinia, że duchowny stoi poza wszelką krytyką. Tak przynajmniej stawali sprawę liczni księży konserwatywni, którzy ostro krytykowali całą tocząca się dyskusję w ramach ankiety „Czego współczesny katolik oczekuje od swego duszpasterza”. Ksiądz społecznie postępowy powinien rozumieć, że twórcza, konstruktywna krytyka tego, co w instytucji kapłaństwa jest ludzkie — nie tylko nie szkodzi, ale przeciwnie, pomaga do przełamania popelnianych często błędów może nawet nieświadomych i do ich całkowitego wyeliminowania.



# POLAK Z ZAŁOGI „TORRENDA”

„Nagle, nie dając nam czasu na uporządkowanie myśli czy przygotowanie zdań, nasz gość opuścił nas; a jego odejście bez pożegnania i ceremonii harmonizuje z tajemniczym przybyciem przed wielu laty i zamieszaniem w tym kraju. Zawsze bowiem unosiła się dokoła niego atmosfera tajemniczości — tak pisała Virginia Woolf w kilka dni po śmierci Conrada, która zatrzymała jego serce w ostatnim skurczu dnia 3 sierpnia 1924 roku.

Dziś, po trzydziestu latach, atmosfera tajemniczości, unosząca się dokoła osoby Josepha Conrada, niewiele się zmieniła. Mimo przetłumaczenia jego książek na język polski, jest on u nas nadal pisarzem mało znanym, a w Anglii, mimo stale ukazujących się książek i artykułów o nim, wciąż jeszcze nie całkiem zrozumianym, choć uznano go za geniusza.

Jak ów Murzyn z załogi *Narcyza*, spalony od słońca oficer okręto- wój, z którym John Galsworthy zawarł przyjaźń na pokładzie *Torrrensa*, pozostaje zagadką. Anglicy znają jedną połowę Conrada, Polacy — drugą. Jego życie i rozwój, a co za tym idzie, osobowość i twórczość, były tak nietypowe, tak egzotyczne dla obu stron, a przy tym tak złożone i subtelne, że łatwiej je skarykaturować niż przedstawić jak w zwierciadle. Conrad — to mnóstwo problemów — narodowościowych, społecznych, kulturalnych, psychologicznych, moralnych, artystycznych. Wyodrębnić je i wyjaśnić mogłaby tylko szeroko pomyślana praca zespołowa. Myślał już niegdyś o tym prof. A. Tretiak, marząc o założeniu Instytutu Conradowskiego.

Conrad był i jest — w pewnym sensie — ambasadorem polskości w krajach mówiących po angielsku. Był i jest wielkim artystą. W trzydziestą rocznicę jego śmierci — a prawie setną rocznicę urodzin obowiązkami naszym jest zastanowić się nad tym kim i czym był.

## POZNANIE

Z dzieciństwa Conrad wyniósł pragnienie ucieczki od zmyru carskiej tyranii w wolny świat dalekich mórz i ładów, zamknięty w książkach Maryata i Coopera a wyłożony chłopięcą, wyobraźnią, kodeks etyczny XVIII w. z domieszką chrześcijańskiego obyczaju, tak zwykły i popularny w Polsce dzięki typowi napoleońskiego wiarsa i jeden cel życiowy: zostania marynarzem.

„Dażyłem do wyraźnego celu, wprowadziłem w życie zamierzony plan zrobienia z siebie, przede wszystkim, marynarza godnego służby, wystarczającego do tego, aby mógł pracować przy boku ludzi, z którymi miał żyć; po drugie zaś, musiałem usprawiedliwić sam przed sobą swoje istnienie, wypłacić z milczącego zobowiązania moralnego”. — pisał o tej sprawie pod koniec życia w „Poland Revisited”.

Z młodzieńczych lat włościę po morzach i oceanach, trwającej lat sześćdziesiąt, Conrad wyniósł poznania morza, okrętów, ludzi różnych ras, egzotycznych krajin i bogactwa ludzkich losów. Poznał prosto- tę marynarską, ich odwagę i wierność obowiązki w walce z żywiołem. Idea wierności służbie, zapożyczona z tradycji napoleońskiej i powstanowej stała się wtedy dla niego podstawą etyki społecznej.

„Świat doczesny — pisał jeszcze później — opiera się na kilku prostych ideach, tak prostych, że muszą być stare jak on sam. Opiera się mianowicie, między innymi, na idei Wierności”.

Osiągnięty szczyt swoich marzeń — stopień kapitana i dotarłszy na falach rzeki Kongo do serca Afryki, które za jego dziecińskich lat zasłaniała jeszcze w atlasie biała plama, romantyczny żeglarz przechodził kryzys. „Jadro ciemności” i „Placówka postępu” wprowadzają nas w tę ohydę rodzimego barbarzyństwa i drapieżnego kolonializmu, która ów kryzys przyspieszyła.

W Kongo, w zetknięciu ze skrajną formą imperialistycznego kapitalizmu nastąpiła w Conradzie wielka przemiana — przebudzenie się wewnętrzne człowieka i artysty. Był to wstrząs moralny i fizyczny (zapadł wtedy na febrę) tak mocny, że Conrad uważał go za początek swego człowieczeństwa. „Przedtem byłem tylko zwierzęciem” — powiedział kiedyś.

Wstrząs ten miał charakter poznania etycznego. Oddalony od społeczeństwa, znający dobrze tylko jedną społeczność — załogę — Conrad nie umiał i nie mógł ocenić praktyk kolonialnych z punktu widzenia struktury gospodarczej, społecznej czy politycznej. Ocenił je według własnego poczucia moralnego i według pojęć moralnych wyniesionych z dzieciństwa. Poczucie to przetrwało i pogłębiło się. Wystąpiła natomiast wyraźnie słabość pojęć takich jak honor, obowiązki, wierność, które w dżungli, gdzie nie było wspierających je konwencji społecznych i towarzyskich, stały się pustymi słowami.

W Afryce Europejczycy ulegali zdziwieniu nie chcąc, wskutek słabości, albo znajdowali wszystkie warunki, aby wyżyć się w demonicznym wprost bestialstwie i zadowolili swą chciwość i pychę przez wykorzystanie dzikości i zabobonu ludożerców. Studium takiego „pioniera cywilizacji” jest Kurtz z „Jadra ciemności”.

W Kongo ujawniła się także niedostateczność dotychczasowego celu życiowego Conrada. Wierność służbie nie wystarczyła, gdy się jest narzędziem kompanii handlowych działających z nieopisaną chciwością, bezsensu i okrucieństwem pod pozorem zdobycia dzikiego kraju dla cywilizacji. Jeśli chodzi o wierność samemu sobie... przykład „nadczołwieka” Kurtza — postaci prawie na pewno rzeczywistej — dowodził, że nie zawsze jest ona równoznaczna z wiernością temu, co w nas najszybciej ludzkie, z wiernością człowieczeństwu w sobie. A przy tym wierność temu, co w nas najlepsze, jest trudna. Jest jakaś skaza w naturze ludzkiej — problem ten występuje zwłaszcza w „Lordzie Jimie” — która w krytycznej chwili przeskądza nam nieraz postąpić zgodnie z wymaganiami względem siebie samego.

Prócz tej skazy, zwanej w terminologii chrześcijańskiej skutkami grzechu pierworodnego, Conrad dostrzegł istnienie otchłani zła, mocy ponadludzkiej, którą nazwał Ciemnością, albo jak chrześcijaństwo — Złym Duchem (w „Placówce postępu”). Nie zauważył jednak nigdzie Boga, wchodzącego w sprawy człowieka. Okruchy wiary za-

gubił w oddaleniu od katolickiego odczucia, Ewangelię uznał tylko za „baśń orientálną”.

W ten sposób powstała głęboko tragiczna Conradowska koncepcja świata i życia. Człowiek według niej jest oddany „samotności niezniszczalnej, samotności, która otacza, owija, odziera każdą ludzką duszę od kolebki do grobu i może poza grobem”. Za błąd karze go Nemezis, lub gorsze od niej nieraz wyrzuty sumienia. Musi więc walczyć ze złem w świecie i w sobie, nie spodziewając się jednak żadnej pomocy, nie będąc zrozumianym przez nikogo. Jedynie uczucie solidarności i życzliwości wzajemnej samotnych jednostek, żyjących według „ewangelii własnego serca” oraz stoicka postawa wobec życia mogą złagodzić tragizm bytu...

## POSTAWA DUCHOWA

Taki mniej więcej światopogląd wytworzył sobie Conrad. Należy pamiętać, że nie był to ani wykończony, ani filozoficzny obraz świata. Conrad nie skończył szkoły, brakowało mu, jak zauważył H. G. Wells: *education of mind* — dyscypliny umysłowej. Ale taka była postawa duchowa wielkiego samotnika, wahająca się zresztą w różnych okresach późniejszego życia od antycznego fatalizmu „Lorda Jima” aż do prawie katolickiej koncepcji odkupującej wartości ofiary ludzkiego serca przeplaconego miłością w „Zwycięstwie”, najpiękniejszej może powieści Conrada.

Wells — umysłowością krańcowo przeciwna, produkt zupełnie innego układu społecznego i odmiennego środowiska — znajdował „coś śmiesznego w przybranej przez Conrada postaci romantycznego, awanturzystycznego, niesprzedajnego, intensywnie artystycznego europejskiego dżentelmena, nosącego w twym kodeks nieskazitelny honoru poprzez nikczemny świat”, ale większość tych, co znali dziwnego Polaka, odczuwała w nim, mimo pewnej starożyteckiej naiwności, porwyczości i napadów rozdrażnienia (Conrad raz mało nie pobił Shawa), jakąś moralną wielkość i czar — *fascination*. Inaczej trudno wytłumaczyć sobie niesłychany u Anglika gest Edwarda Garnetta — najserdeczniejszego przyjaciela i wydawcy Conrada — który pocałował go kiedyś w rękę. Można uważać Conrada za mitologizującego romantyka, ale trudno odmówić mu szczeroci i wielkości ducha.

Dzięki tej właśnie prawości i wrażliwości, Conrad dotarł w sercu afrykańskiej ciemności do pań- nych praw — nie przez analizę, ale na sposób poetów — poprzez syntetyczne poznanie głębokiej prawdy życia. I chociaż to oświecenie, z różnych przyczyn było niepełne, a niekiedy mylnie przez pisarza ujęte w terminach myśli, w jego świetle dotychczasowy cel życia Conrada musiał ustąpić wyższemu. Stała się nim twórczość artystyczna pojęta jako służba prawdzie i sprawiedliwości. „Sztukę — pisał w parę lat po przeżyciach w Kongo — można określić jako wysiłek ducha, dążący do wymierzenia najwyższej sprawiedliwości widzialnemu światu przez wydobycie na jaw prawdy — wielorakiej a jednej, ukrytej pod wszelkimi pozorami”.

Dlatego właśnie — mimo romantycznej atmosfery powieści i opowieści Conrada — twórczość jego jest wiernym obrazem znanego mu świata. Jak u współczesnego mu wielkiego pesymisty Tomasa Hardy'ego, łatwo w niej oddzielić „komentarz autorski” od prawdy życia. Mimo, że Conrad nie miał zaufania do socjalizmu, socjalista znalazł u niego wierny obraz praktyki kapitalizmu wchodzącego w fazę imperializmu zarówno na terenach kolonialnych (w powieściach z Dalekiego Wschodu), półkolonialnych („Nostromo”), jak i w brytyjskiej metropolii („Traf”, „Wspólnik”), bo dla Conrada „powieść jest historią, ludzką historią, lub nie jest niczym”. Katolik dostrzeż w jego twórczości ślady empirycznego dochodzenia dzielnej duszy do wielu prawd moralnych religii. Nie dlatego, żeby Conrad był jakimś zawodowym moralistą, lecz dlatego, że każdy przedmiot w dziedzinie intelektu i uczucia musi mieć swój sens moralny, jeśli jest traktowany z całą szczerością.

## TWÓRCZOŚĆ

Takiego Conrada spotkał w r. 1893 na pokładzie *Torrrensa*, odbywającego prawie dwumiesięczną podróż z Australii do Anglii, John Galsworthy, pierwszy czytelnik, krytyk i przyjaciel samotnego Polaka. Wyniósł z długich wieczornych gawęd na rufie wrażenie, że trzydziestosekstoletni oficer „opalon, ze szpiczastą brodką, prawie czarnymi włosami i ciemnobrązowymi oczyma, nad którymi powieki faldowały się mocno” miał zapas opowieści wystarczający na dwadzieścia lat. Starczyło ich jeszcze na lat trzydzieści.

Okres twórczości literackiej przyszedł w samą porę. Era żaglowców, które pod koniec XIX w. osiągnęły maksimum sprawności i siły w postaci szybkoieżnych clipperów, kończyła się. Nawigacja przestawała być sztuką a żeglarz artystą. Podróż morska przestawała być wyprawą, była już tylko środkiem komunikacji, pewnym, ale pozbawionym przygód.

Na lądzie natomiast czekała Conrada wielka przygoda tworzenia rodziny i sztuki. Ożenił się. Miał zostać ojcem dwóch synów. Wszedł za pośrednictwem autora „Sagi rodu Forsytów” w środowisko artystyczne — literackie. Był wśród nich Garnett, „kochany Edward”, przyjaciel młodych talentów, pisarz i wydawca, był „mistrz” Henry James, był Cunningham Graham, był Ford Madox Hueffer, z którym miał napisać wspólnie dwie powieści („The Inheritors” i „Romance”), był H. G. Wells, którego nie mógł zrozumieć i z którym, ku ogólnej konsternacji radził raz Huefferowi stoczyć pojedynek, był Shaw, którego maniera doprowadzała Conrada do wściekłości.

Wszyscy na swój sposób uznali w nim wielki talent. Oto wrażenia Forda Madox Hueffera po przeczytaniu „Szaleństwa Almayera” — pierwszej powieści Conrada — studium konfliktu ras — pisanego częściowo przynajmniej w „żelaznym pudle” parowca na rzece Kongo:

„Myśle, że odczułem wówczas najzradszą rozkosz mego życia. Polegała na zetknięciu się z duchem

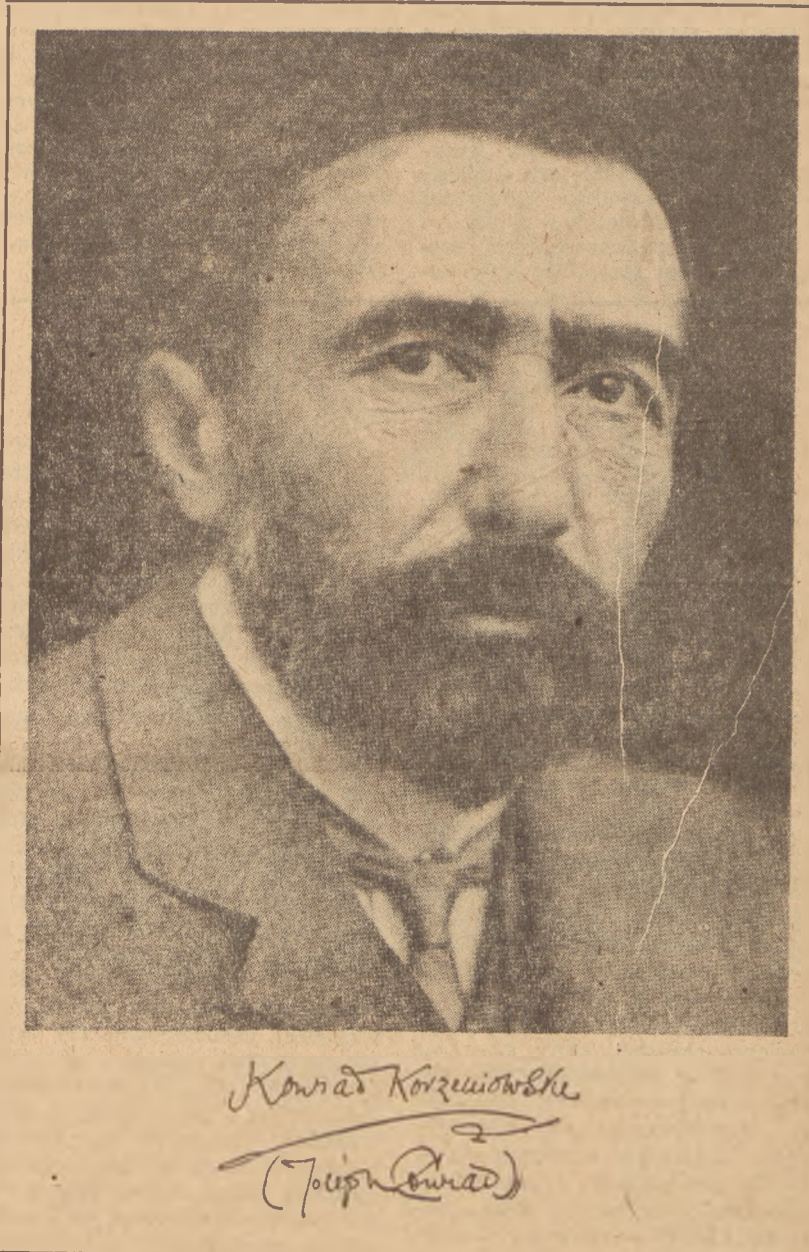
romantyczności, przygody, dalekich ładów i z angielszczyzną, która była nowa, czarodziejska i niedościgniona. Sławiła jak muzyka, oszałamiała mnie jak wielka ciepła morska fala, a była tak jasna, jak tropikalne słońce, przenikające do głębi wonne puszcze Wschodu”.

Był w niej wprawdzie tu i tam, pewne nieangielskie zwroty, ale Hueffer pomógł Conradowi wyżyć się ich i osiągnąć „rzetelne opanowanie języka” — *genuine mastery of Language* — które krótko ale dobitnie stwierdza u niego „Concise Cambridge History of English Literature”.

## JĘZYK I TECHNIKA

Sprawa języka Conrada stanowi specjalny problem, częściowo związany z problemem jego brytyjskiego obywatelstwa. Przystając być w r. 1896 poddanymu cara i przyjmując — za radą wuja — obywatelstwo liberalnego kraju, który wówczas udzielał azylu Marksowi, Conrad nie wyrzekł się swojej narodowości. Do końca życia był Polakiem, nie przestał śledzić losów Polski i — gdy mógł — pomagał jej sprawie pieniędżem i piórem. Podobnie — stając się pisarzem angielskim, nie wyrzekł się polszczyzny tak, jak nie wyrzekł się jej Przybyszewski, pisząc po niemiecku, czy Apollinaire, pisząc po francusku. Po prostu

(Dokończenie na str. 4)



JANUSZ DOWNAROWICZ

## ROMANTYZM CONRADA

ROMANTYZM — to słowo określające przynajmniej dwa różne pojęcia w literaturze. W pierwszym znaczeniu, mającym zresztą priorytet w Polsce, oznacza pewien okres historii literatury, ograniczony w czasie i powstały na tle konkretnych warunków historycznych. W drugim — jest raczej pojęciem psychologicznym; rozumie się pod nim pewną ogólną postawę pisarza, niezależną od czasu i miejsca, spotykana od Szekspira po dzień dzisiejszy, postawę, którą w wielkim uproszczeniu można by nazwać emocjonalną a nie intelektualnym stosunkiem do świata. To rozróżnienie dwu pojęć jest szczególnie silne na Zachodzie, gdzie słowa „romantyzm” w drugim znaczeniu używa się o wiele szerzej niż u nas, określając nim nawet jakąś generalną postawę pisarzy całych narodów.

Romantyzm to przede wszystkim stosunek do świata. U Conrada możemy go łatwo wysledzić w podwójnej relacji — stosunek samego pisarza i stosunek jego bohaterów; są to zresztą dwa wyrazy tej samej postawy.

### \*

W świecie otaczającym Conrada jest coś, czym pogardza — to materialna cywilizacja jego czasów. I jest coś, co kocha, dla czego warto żyć — to morze. Wyraz tych uczuć znajdziemy w całej jego twórczości.

Przyjrzyjmy się najpierw, jak Conrad rozkłada ten ujemny ładunek emocjonalny. Jego niechęć do

handlu w swoim sklepieniu. Ukazuje się jakieś przynębiające *moral insanity* tego środowiska. Pan Verloc nie ma żadnych skrupułów, gdy powoduje dla interesu śmierć swego wychowanka, zna tylko jedno uczucie — strach przed sekretarzem ambasady. Ale tu może jedyny raz odzywa się instynkt w zamkniętej w sobie i, wydaje się, niedostępnej żadnym doznaniom pani Verloc — mścąc się za jedyną kochaną istotę, niedorozwiniętego chłopca, przecina nożem mieszczański żywot groźnego Mr Verloca.

O wiele mniej nasyconą niechęć przejawia Conrad do dwu innych produktów jego cywilizacji — do intelektualistów, których przedstawiciela, profesora z „Plantatora z Malaty”, traktuje z łagodną raczej ironią oraz do wymierających artystokratów, którzy w swoim beztrojskim, łatwym życiu utracili odporność psychiczną i zasługują raczej na współczucie („Il Conde”).

Niszczący i wrogli ludzkości wydaje się Conradowi niski materializm jego czasów. W „Nostromo” tej panoramie dziewiętnastowiecznej cywilizacji rzuconej na tło wyimaginowanej, ale realistycznej republiki południowo - amerykańskiej Costaguany, mamy całą „*play of material interests*”. Jak pisał J. C. Bradbrook: „*Nostromo*, ten rycerski *Capataz de Cargadores*, zostaje skorumpowany i poniżony przez srebro kopalni; nowe państwo podporządkowuje się wielkim interesom; Charles Gould popada w niewolę potęgi, którą stworzył”.

Z rezerwą i nieufnością odnosi się też Conrad do tego, co dziś nazwalibyśmy nadbudową jego społeczeństwa — do obyczajowości, sankcjonowanej przez prawo. Miłość u Conrada — to domena kochanków, nie małżeństw. Almayer nienawidzi żony; Willems z „Wykolejka” ucieka od swojej; po-

dobnie Harvey, który porzuca dom. Kapitan Mac Whirr nie znajduje zrozumienia, kiedy pisze do żony; są i akcenty tragiczne — Mrs Verloc zabija przecież męża; a w najlepszym wypadku małżonkowie żyją obok siebie, obcy sobie ludzie (Traversowie).

W ramach tego nikczemnego, skorumpowanego świata wczesnoimperialistycznej cywilizacji istnieje jednak dla Conrada jakaś wielka domena szlachetnych uczuć, wspaniałych wysiłków duszy i ciała, pięknej, chociaż często tragicznej walki — morze.

Conrad, przez swoją dwudziestoletnią służbę na statkach handlowych czuł się z nim związany bardzo silnie, węzłem jakiejś międzyludzkiej przyjaźni, niekiedy z akcentami miłości i namiętności. „*Używałem tu odosobnionego — pisze w przedmowie do „Zwierzciadła morza” — z bezpośrednią ostateczną spowiedzi, jaki był mój związek z morzem, który zaczął się towarzysko, jak każda wielka namiętność zesłana na śmiertelnych przez niezbadanych bogów, rozwinął się nieodparcie wbrew zasadom zdrowego rozsądku, wytrzymując próbę straconych złudzeń i przeżywając rozczarowanie, co się czai w każdym dniu czynnego życia; trwał dalej wśród miłosnych rozkoszy i miłosnych męk, pełen umiesienia, lecz próśm złudzeń, bez gorczy i bez skarga, od pierwszych chwil aż do ostatniej. Ujawniony, ale nigdy nie upadły na duchu, całą swą istotą poddałem się tej namiętności różnorodnej i wielkiej jak samo życie, zawierającej jak życie okresy cudownej pogody, którymi nawet i płońcha kochanka w chwili ukonania darzy nas niekiedy na swej pierś, pełnej postępow, pełnej szaleństwa, a jednak zdolnej upoić zachwycającą stądyczą. Jeśli mi ktośkolwiek powie, że to jest liryczne*

złudzenie starego, romantycznego serca, odrzeknę, iż przez dwadzieścia lat żyłem jak pustelnik ze swą namiętnością. Poza linią morską widnokrepu świat dla mnie nie istniał... Ale jakkolwiek nazwał tę moją miłość, jedno pozostaje niezbité — była czymś zbyt wielkim, aby można wyrazić ją w słowach”.

Conrad personifikuje i darzy uczuciem nie tylko morze. Także statki, które łączy w jedną nierozłączną całość z kapitanem i załogą („Tajfun”), wyposaża w indywidualność prawie ludzką, w zdolność uczucia i myślenia. Charakterystyczny jest tu wyjątek ze „Zwierzciadła morza”: „*Może ludzie na poległym statku żądali od niego zbyt wiele, może wyszyskaliwno nad miarę niezłomną jego wierność, jak gdyby wrobiona i ukuta w to zaborowisko żelaznych wręg i poszczyca, drzewa i stali, płócien i drutów, które są składają na statek — doskonały twór obdarowany siłą, indywidualnością, zaletami i wadami... twór, z którym inni ludzie zaurą znajomość bardziej żądają niż stosunek łączący człowieka z człowiekiem, który pokochają miłością prawie równie wielką jak miłość mężczyzny do kobiety i często również ślepą w zapoznawaniu wad i ułomności*”.

Kiedy czytam powieści Conrada, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że nikt chętniej od niego nie usłużyłby wezwania Wellsowskiej syreny, aby porzucił świat cywilizacji i pójść za nią na dno morza — tam, gdzie „są inne, lepsze sny”.

### \*

W wielkim osamotnieniu i tłażmie bohaterów Conrada nie pomagają kobiety. Przeciwnie, to *galeria femmes fatales* tak typowa dla romantyków. Kobiety Conrada kierują postępowaniem mężczyzny na jego zgubę. Wystarczy wspomnieć Mrs Travers, tę

mimowolną może przyczyną tragicznych wahań Lingarda i inne, świadomie panujące nad mężczyzną — Nina nad Deinem („Szaleństwo Almayera”), Freja nad Jaspersem („Freja z Siedmiu Wypów”), a nad Gasparem Ruiz jego waleczną, mściwą żoną. W dwu tylko wypadkach kobiety rozjaśniają, choć może nieprawdę, życie mężczyzny — tę rolę spełnia Aisa wobec Willemsa i Lena wobec Heysta, odrodzonego przez jej uśmiech i ufnosć.

W tym odosobnieniu bohaterów Conrada „pomaga”, jeśli wolno się tak wyrazić, sceneria jego powieści. Jakaś charakterystyczna dla uciekającego od cywilizacji romantyka: archipelag Malajski. Tam toczy się akcja całego „cyklu Lingarda” — „Szaleństwa Almayera”, „Wykolejka”, „Ocalenia”. W tych okolicach rozgrywa się większość jego nowel. W te strony ucieka Heyst, aby z bastionu odosobnienia patrzeć z pogardą na ludzkość. Tutaj rozkwita i lamie się tragicznie miłość Jaspersa i Frei z Siedmiu Wypów. Tu, w podzwrotnikowych lasach czują się jego bohaterowie, złowrogie mocy. W tej samej scenerii, chociaż na drugiej płukuli, przeżywa swą tragedię odrodzony od świata Kurtz, energiczny agent, niezwykły i nikczemny, który rozważając ideały świata, umiera z okropną korpalką na ustach — „A horror, a horror...”

I chyba te same słowa miał na myśli romantyk Conrad — patrząc na współczesną mu ludzką zyczącą i radującą się bezduśzną, spodłałą cywilizacją, cywilizacją, która swym przekłętym pięknem dotknęła wszystkiego poza jednym, ukochanym, Conradowskim eliseum — morzem.



## PO ZJEŹDZIE FILOLOGÓW

## Zaczarowane koło

OSTATNI zjazd Polskiego Towarzystwa Filologicznego, pięćdziesiąty trzeci z kolei w jego historii różnił się nieco od takich smych zjazdów z pierwszych lat powojennych. Po pierwsze — jak to zazwyczaj otwierają obrady prezes Towarzystwa prof. Kazimierz Kumaniński — był to zjazd (co prawda już trzeci w historii Towarzystwa) o jednolitej, zaplanowanej przez Zarząd Główny tematyce, po drugie odbywał się on — po raz pierwszy chyba w historii Towarzystwa — w mieście nie mającym ośrodka uniwersyteckiego. Oba te fakty mają specjalne znaczenie i specjalną wymowę, której, zanim zajmę się treścią orad, należy się kilka słów wyjaśnienia.

Mija już u nas okres izolacji nauki od życia, okres wybujałego indywidualizmu zainteresowań i pracy naukowej nie konfrontowanej z potrzebami społecznymi i z wymaganiami odbiorcy tego dobra kulturalnego, które nazywa się nauką. Przemiany w różnych dziedzinach życia w naszym kraju, mające na celu ukształtowanie nowych form życia i pracy objęły także sztukę. Wybujały indywidualizm uczonych, który w swych skutkach dawał produkty przypadkowe, wśród nich niekiedy — to prawda — wspaniałe, epokowe dzieła, ale także niekiedy tworzy dziwaczne, nieprzydatne ani nauce, ani życiu kulturalnemu w jego szerokim, społecznym aspekcie, i mnożył w nieskończoność bliźniaczo podobne do siebie przyuczki, został już zasadniczo przezwyciężony.

Zjazd tegoroczny należy rozumieć jako próbę wyjścia filologii klasycznej z opłotków elitaryzmu i chęć przeniknięcia z nauką o starożytności do najszerszych kręgów nie tylko specjalistów (w da-

nym wypadku nauczycieli łaciny), ale także całego społeczeństwa. I znów warto zdać sobie sprawę z tego, że jakkolwiek wiedza fachowa o świecie starożytnym jest i zawsze pozostanie własnością wąskiej grupy specjalistów, to jednak dobra kulturalne świata starożytnego mogą i powinny być udostępnione wszystkim. Popularyzacja wiedzy o antyku rozwija się z roku na rok. Świadczy o tym choćby liczba wydanych przekładów dzieł starożytnych i ich nakłady, jak również to, że niektóre pozycje, np. Bibliotekę Narodowej rozchodzą się nadszpordzanie szybko wśród czytelników.

TEMATYKA odczytów zjazdowych była dość szeroka. Z dziesięciu — cztery referaty poświęcono dramaturgii greckiej, trzy dramaturgii rzymskiej (choć wygłoszone tylko dwa z powodu nieoczekiwanej choroby prelegenta), jeden starożytnej dramaturgii i jej aktualności, jeden instrumentum muzycznym w teatrze greckim, jeden dydaktyce języka łacińskiego i kultury starożytnej. Mimo to jednak w ramach tych odczytów nie pomieściły się ani wszystkie problemy dramaturgii greckiej, ani wszystkie bodaj najważniejsze jej przedstawiciele. Wystarczy wspomnieć, że pominięto zupełnie tak wielkiego pisarza jak Sofokles. Ale też nie było zadaniem zjazdu omówić całokształt zagadnień dramaturgii starożytnej; referaty zjazdowe bowiem nie stanowiły i nie miały stanowić zamknięcia i ukoronowania prac badawczych, lecz przeciwnie, miały stać się punktem wyjścia, określeniem zadań i kierunków przyszłej pracy, zgodnie z charakterem walnych zebrań wyznaczonych przed trzema laty przez Zarząd Główny Towarzystwa.

Niemniej trudno by było przyśluhując się obradom nie dotrzeć w referatach nowych osiągnięć, zwłaszcza w zakresie metody i wyboru problematyki. Nowatorstwo to ujawnił zarówno referat doc. Władysława Madydy mający charakter najogólniejszy, bo dotyczący starożytnej teorii dramatu i jej oceny w pracach radzieckich filologów, estetyków i teoretyków dramatu (tytuł referatu brzmiał: *Dramaturgia starożytnych w ujęciu uczonych radzieckich*), jak i następne referaty poświęcone zagadnieniu bardziej szczegółowemu, niejako monograficznemu dramatu starożytnego (co oczywiście nie znaczy, że referaty były przyczynkami). Prof. Bronisław Biliński w referacie na temat *Walka postępu i reakcji na scenie Eurypidesa* rozpatrywał przede wszystkim społeczne poglądy Eurypidesa i jego stosunek do współczesnych prądów kulturalnych, przede wszystkim do sofistyki, a także jego rolę w rozwoju dramatu antycznego ze szczególnym uwzględnieniem Eurypidesowego realizmu. Prof. Stefan Srebrny zajął się pierwiastkami ludowymi w komedii starożytności w referacie pt. *Rysy ludowe w obliczu artystycznym komedii starożytności*. Prof. Wiktor Steffen, mówiąc o greckim dramacie satyrowym, również częściowo wkraczał w dziedzinę ludowości ukazując dramaturgię satyrową jako twórczość obywateli na górze i z jego inspiracji biorący początek, podobnie jak dr Anna Swiderkówna w referacie o micie greckim w Egipcie. Prof. Władysław Strzelecki w referacie pt. *Tragedie Seneki* zajmował się ideologią pisarza, a prof. Tadeusz Sinko wpływem komedii Terencjusza na angielską komedię obyczajową XVIII wieku (*Terencjusz i nowożytna komedia mieszczańska*). Filologiczno-archeologiczny charakter miał referat o instrumentach muzycznych w teatrze greckim wygłoszony przez mgr Zofię Skulimowską.

Zarówno ze względu na specjalną wymowę zjazdu, jak i ze względu na wagę zagadnienia popularyzacji wiedzy o świecie starożytnym, której pierwsze ogniwo niejako stanowi nauka łaciny w szkole, warto baczeniejszą uwagę poświęcić wygłoszonemu na zjeździe referatowi dydaktycznemu. Już w czasie otwarcia zjazdu prof. Biliński, przemawiając jako przedstawiciel Polskiej Akademii Nauk, wyzwał do wzmocnienia wysiłków o nadanie nauce łaciny w szkole właściwych wymiarów i właściwego charakteru. Stwierdził on, że wprawdzie przewyższono już kryzys w tym względzie, ale „bitwa idzie o miejsce łaciny w szkole” — o to, czy będzie ona przedmiotem stawianym na równi z innymi, czy też kopciuskiem, spychanym na marginesy programów szkolnych. Od obywateli podległych (łacinę) — stwierdził prof. Biliński — zależy wynik naszej walki (o miejsce łaciny w szkole).

Referat dydaktyczny mgr Stefana Wygonowskiego pt. *Kształtowanie naukowego poglądu na świat i moralności socjalistycznej w procesie nauczania języka łacińskiego* (wygłoszony w pierwszym dniu obrad, 27 czerwca) wiązał się ściśle z tym postulatem unowocześnienia nauki łaciny przez przystosowanie jej do ogólnego kierunku nauczania i wychowania w szkole. Prelegent ilustrował swoje tezy na podreżniku prof. Skiminy i na materiale tam zawartym usiłował pokazać, jak ma być prowadzona elementarna nauka łaciny pod kątem aktualnie interesujących problemów światopoglądowych i społecznych. Był to postulat aktualizacji i ożywienia nauczania martwego języka, postulat w zasadzie słuszny, bo nauczanie łaciny ma na celu dać uczniowi, obok elementów języka, także elementy kultury antycznej, zwłaszcza takie, jakich nie może dać lekcja historii starożytnej, a tych nie można rozpatrywać inaczej jak przez pryzmat zainteresowań przeszłości. Przy tym wszystkim jednak stwierdzić trzeba, że mgr Wygonowski — jak to mu zresztą słusznie wytknięto w dyskusji — nie zachował bynajmniej klasycznego umiaru w swym żądaniu nawiązania do aktualnych problemów i wyliczał ich tak wiele, jak gdyby szkoła nie zajmowała się nimi w ogóle poza lekcjami łaciny.

Podobno mgr Wygonowski, zajmujący się ex professo nauczaniem łaciny, z powodzeniem — jak stwierdzono w dyskusji — stosuje swoje postulaty w praktyce pedagogicznej. Gdyby traktował to wszystko, czego żądał mgr Wygonowski od nauczycieli łaciny, jako „czynnik ożywiający” spełniając swoją rolę właściwie tylko wtedy, jeśli wprowadzone będą z umiarem, bez przeciążania lekcji łaciny wykładem wiadomości, obficie podawanych na innych lekcjach. Jest niewątpliwie rzeczą pożyteczną powiązanie nauczania martwego języka łacińskiego z zagadnieniami życia współczesnego, zwłaszcza że znajomość języka ma być w dalszej perspektywie tylko narzędziem

do poznania życia ludzi, którzy się nim posługiwali i uczeń powinien zdawać sobie z tego sprawę, ale ostatecznie celem nauczania łaciny jest nauczenie łaciny i ożywienie tego nauczania czynnikami, o których mówił mgr Wygonowski, nie może i nie powinno przysłużyć głównemu celowi.

ZAJD tegoroczny był ostatni przed uroczystym jubileuszem, zjazdem dziesięciolecia filologii klasycznej w Polsce Ludowej, jaki zapowiedziano na rok przyszły w Warszawie. Niektóre doniosłe przemiany, jakie się w jej łonie dokonały, usiłowałem scharakteryzować już na początku tego sprawozdania. Na zakończenie dorzucę jeszcze parę rysów, które w moim rozumieniu są istotne.

Przed wszystkim — nowatorstwo w ujmowaniu problemów kultury świata starożytnego. Filologia klasyczna jest nauką starą, początki jej sięgają starożytności, mniej więcej III w. przed Chr., toteż nie dziwnego, że wymaga ona od czasu do czasu „odmłodzenia” przez konfrontację jej metod i osiągnięć z potrzebami życia, z panującymi prądami kulturalnymi i zapotrzebowaniem odbiorców twórczości naukowej. Nauka o starożytności nie może przejść obojętnie obok zagadnienia podłoża ekonomiczno-społecznego, na którym wyrosły dzieła kultury antycznej, budzące podziw swą świetnością. Stąd zwrot filologii klasycznej ku omyślnemu „nizinom” świata starożytnego, stąd próby ukazania ich roli w powstawaniu dzieł wspaniałych i wielkich, które dotąd w świadomości ludzi współczesnych były jedynym symbolem życia starożytności. Nie znaczy to wcale, że filologowie klasycyści zajmują się tylko niewolnictwem i stosunkami społeczno-gospodarczymi świata starożytnego. Przegląd tematyki zjazdowej wystraszony, by przekonać, że problematyka świata starożytnego nie uległa żadnemu wężeniu, przeciwnie, została wzbogacona i ożywiona. I nie jest istotne to, że na zjeździe aż w trzech referatach poruszano zagadnienie pierwiastków ludowych w artystycznej twórczości literackiej; daleko ważniejszy jest fakt, że żaden z referatów zjazdowych nie traktował omawianych dzieł literackich jako czegoś samodzielnego, oderwanego od kompleksu warunków, w jakich powstały, przeciwnie, główny nacisk w wygłoszonych referatach spoczywał na ideologicznej stronie dzieł, na jej zależności od warunków społecznych oraz na jej roli i wpływie na ich układ. Widać to było może najwyraźniej w referatach prof. Bilińskiego i prof. Strzeleckiego, ale zresztą i w innych ten kierunek badania uwidocznił się w mniejszym lub większym stopniu, nie wyłączając referatu doc. Madydy, poświęconego zasadniczo rozważaniu tylko wartości artystycznych dramatu antycznego.

Wydaje się, że fakt ten wiąże się ściśle z ogólnym kierunkiem rozwojowym filologii klasycznej, której zainteresowania przesuwają się coraz bardziej z języka i formy literackiej ku badaniu, na podstawie analizy zabytków literackich, życia starożytnych w jego różnorodnych przejawach. Sprawa zresztą jest bardziej skomplikowana, niż się na pierwszy rzut oka wydaje. Bo jeśli istotnie taki jest naturalny kierunek rozwojowy filologii klasycznej, to przecież wkracza ona na tereny nie swoje i utozsamia się po prostu z historią, a jej odrębne od historii zadania i kompetencje spadają przy takim założeniu do roli nauki pomocniczej.

Zdaje się, że przedczesne byłyby obawy przed tym, jakoby filologia klasyczna miała stracić swą rolę samodzielną dyscypliny i stać się tylko nauką pomocniczą historii. Proces ten bowiem nie wykrystalizował się na tyle, by można było już dziś przewidzieć jego skutki. Nie snując dalej teoretycznych rozważań i nie wypadając z roli sprawozdawcy, chcę tylko stwierdzić, że zagadnienie to wystąpiło na obradach LIII Walnego Zgromadzenia Polskiego Towarzystwa Filologicznego dwukrotnie: raz w referacie doc. Madydy, który zwrócił uwagę na konieczność związania badań nad ideologią dzieła literackiego z badaniami nad jego formą artystyczną, drugi raz w wypowiedzi prof. Jerzego Krótkowskiego z Wrocławia, który właśnie w obawie przed tym, by filologia klasyczna nie stała się wylądnięciem pomocniczą nauką historii, i nawiązując do referatu doc. Madydy wyraził postulat badania wyrazu artystycznego, jaki znajdują nowe idee w formie literackiej dzieła.

Na razie sprawa przedmiotu filologii klasycznej i stanowiska jej wśród innych nauk o starożytności pozostaje otwarta. Można mieć nadzieję, że następny zjazd filologów, który będzie poświęcony nie tylko ocenie dorobku dziesięciolecia, ale chyba także sprecyzowaniu programów na przyszłość, sprawę tę posunie naprzód. Tymczasem wypada nam stwierdzić na podstawie pobieżnie zreferowanych obrad LIII Walnego Zgromadzenia wielką żywotność tej nauki w Polsce i jej ścisły związek z życiem społecznym.

Chodzi o to, czy w dzisiejszej polskiej architekturze istnieje schematyzm — tak zwalczany w innych dziedzinach sztuki. O schematyzmie w architekturze mówi się dużo, tylko się nie pisze. Nie trzeba przypominać ogromnych osiągnięć naszego budownictwa. Wielkie sukcesy dziesięciolecia odbudowy mówią same za siebie. Ale te faktyczne osiągnięcia to nie powod, aby zamykać oczy na wiele żywych i dotychczas nie rozwiązanych problemów. Aby dać się unieść bezkrytycznemu podziwowi.

We współczesnej architekturze nie może się podobać jej stosunek do postępu technicznego i jej stosunek do spuścizny historycznej. Zachwiała się między nimi równowaga na niekorzyść stosunku pierwszego.

Co tu dużo mówić. Nasi architekci nazywają często produkują budynki, których szata zewnętrzna jest bardzo wierna i bardzo nudną kopią przeszłości — budynki tak wyprane ze wszelkiej własnej inwencji, że mogą być one muzealnymi eksponatami stylu z epoki Księstwa Warszawskiego czy Królestwa Kongresowego. Czas musiał stanąć. Nieliczne stosowanie elementów i form klasycznych przerosło do bycia środkiem, stał się receptą.

Ta retoryka form historycznych, które pełnymi garściami czerpie się z podręczników — to jest właśnie architektoniczny schematyzm, i to schematyzm w stanie zaawansowanym: wybujały i kwitnący.

Zarzut formalizmu spotykał często projekty wykazujące indywidualne i niebanalne podejście do współczesnych zagadnień.

Utożsamianie klasycznej dyscypliny z mechanicznym stosowaniem rekwizytów dawniej architektury doprowadzało nieraz do wyjąłowania architektonicznej inwencji.

Przykładów jest na to wiele. Zacząć by trzeba od studentów, którzy w czasie ćwiczeń na politechnice projektując muzeum, szkołę czy blok mieszkalny — utracają program użytkowy budynku w umowną bryłę opartą na stereotypowym rzucie: koniecznie symetrycznym, koniecznie z rezalitami; bryłę nierazko identyczną bez względu na przeznaczenie budowli — co pośredniego między świątynią a pałacem. Skończyć by można na eklektycznym projekcie teatru prof. Gutta. Wyobraźnia architektoniczna została zastąpiona znajomością historii architektury.

A teraz druga sprawa — postępek techniczny. O tym, że nie dochodzi on w pełni do głosu mówiło się już na I-ej Krajowej Naradzie Architektów. A jak jest obecnie? — W budownictwie mieszkaniowym niewiele się zmieniło. W dalszym ciągu rzadko stosuje się nową konstrukcję i nowe materiały, a prócz paru typów stropów nie pojawiają się inne prefabrykatory.

Jedynie budownictwo przemysłowe wykazuje na tym polu wielką aktywność i duże osiągnięcia. Na czerwcowym III-cim Ogólnopolskim Pokazie Architektury znaczny procent eksponatów stanowiły projek-

ty przemysłowe. Trzeba przyznać, że były to projekty najciekawsze; odznaczały się odwagą i świeżością w zestawieniu z innymi dziedzinami Zawody na tym nowa konstrukcja i szczerść w jej stosowaniu.

W jakim stopniu może konstrukcja zadecydować o wyrazie budynku? Jej działanie musi być ograniczone architektoniczną dyscypliną, ale piętno nowych materiałów i metod budowlanych z pewnością nadaje charakter współczesnemu budynkowi.

Problem dzisiejszej architektury — to wykorzystanie najnowszych zdobyczy konstrukcji i podporządkowanie ich plastycznemu rygorom. Ten współdział konstrukcji nie może jednak ograniczać się do żelazo-betonowego szkieletu przykrytego na zewnątrz parawanem dekoracji sprzed stu lat.

Czy na ostatnim Pokazie Architektury rzeczywiście przeeksponowano zagadnienia przemysłu i techniki, jak pisał ob. Staszewski w „Przeglądzie Kulturalnym”? Czy „zabrakło kierunkowości w ukazaniu zjawiska i wystąpiło ono żywiołowo w swoich typowych i nietypowych aspektach”? Bez wątpienia organizatorzy Pokazu dotknęli podkreśliли zagadnienia techniczne, ale wykazanie żywiołowości techniki, która „sama znalazła drogę do salonu architektury” — może wyjść tylko na zdrowie naszemu budownictwu i z pewnością jest akcentem słusznym. Dominująca rola, jaką odegrały nowe zdobycze techniki w rozwoju architektury przemysłowej, powinna być bodźcem dla pełniejszego rozwoju w innych jej dziedzinach, a zwłaszcza na terenie budownictwa mieszkaniowego, które tak często koncentruje swoją uwagę przede wszystkim na opracowaniu elewacji.

Drukowane w „Przeglądzie Kulturalnym” wypowiedzi na temat architektury Warszawy wykazały, jak często w rozplanowaniu powierzchni użytkowej bloków MDM brak tej logiki, jaką mają wyrażać ich elewacje.

III-ci Ogólnopolski Pokaz Architektury ukazał możliwości ogromnego rozwoju budownictwa mieszkaniowego wielokopijowego; możliwości odświeżenia architektury przez udoskonalenie metod budowlanych.

Pełniejsze i odważniejsze zastosowanie żelbetu i prefabrykatów w budownictwie mieszkaniowym pozwoliłoby uniknąć rutyniarstwa widocznego na przykładzie wielu wystawianych projektów, w nieciekawym i banalnym sposobie operujących klasycznym szablonem; pozwoliłoby uwspółcześnić tę architekturę obracającą się w zaczarowanym kole pilastru gzymsu i cokołu.

„Technika... nie potrzebuje pomników” — pisze ob. Staszewski w „Przeglądzie Kulturalnym”. Bardzo słusznie, ale nasze pomniki potrzebują techniki, bo bez niej, z jednego niebezpiecznego krańca — z konstruktoryzmu, przejdą w drugi, również niebezpieczny — eklektyzm.

## POLAK Z ZAŁOGI „TORRENSA”

(Dokończenie ze str. 3)

Tak jak Szekspir był poetą, który pisał dramaty, tak Conrad był poetą, który pisał powieści. Pisał tylko „w natchnieniu”, gdy — nie raz nagle, choćby na schodach — nawiedziła go wizja. Nie opisywał jej, ale ją odtwarzał w słowach, walcząc nieraz godzinami z oporem języka dotąd, aż udało mu się wywołać prawdę dawnego przeżycia. To właśnie dało dziełom Conrada potęgę sugestywną, która fascynuje a nieraz oszałamia czytelnika.

Ten poetycki element głębi, emocjonalności i wzności nazywano romantyzmem Conrada. Ale związany z nim nieodłącznie jest realizm, który operuje współczesnością, czerpie z rzeczywistych przeżyć, wiernie odtwarza stosunki ludzkie. Conrad jest „romantycznym realistą”, który stara się utrzymać w równowadze oba elementy swej twórczości. Dążeniem do realistycznego obiektywizmu należy tłumaczyć występowanie w wielu powieściach narratora — Marlowa. „Marlow — pisze Richard Church — powolny i przewidywający, służył do hamowania poetyckiej intensywności Conrada i przez lakoniczne wydziałanie opowieści po kawałku trzymał ją tak, że przy ziemi”.

Każde słowo u Conrada ma pełne znaczenie. Czytając go, nie można niczego pominąć, aby nie przestać rozumieć. W tym sensie Conrad jest trudny do czytania, wymagający. To, by może, było przyczyną niewielkiej z początku jego poczytności. Drugą mógł być egzotyzyzm. W każdym razie Conrad przed rokiem 1913 nie mógł utrzymać się z pisania. Chciał nawet wrócić na morze. Ale przyjaciele literaci przez osobiste pomocy wystarali się o regularną zapomogę z królewskiej „listy cywilnej”. Dopiero „Traf” („Chance”) zdobył mu czytelników.

## DZIEJE UTWORÓW

Większość utworów Conrada — to powieści i nowele mające za tło kraje i morza Wschodu, zwłaszcza Malaje. Od nich pisarz zaczął swą działalność artystyczną. Przepłatają się one z innymi utworami prawie do końca. „Nostromo” (1904) — wyjątkowo — przynosi czytelnika do Ameryki Środkowej. Jest próbą pokazania sił ścierających się na terenie półkolonialnego państwa i zamyka jakby pierwszy okres twórczości Conrada.

Następują powieści i nowele „Europejskie”, jak „Tajny agent”, „Sześć opowieści” i „W oczach Zachodu”. Są to przeważnie studia różnych emigrantów politycznych, anarchistów i prowokatorów działających w Anglii. Do grupy tej należy „Traf” — powieść o rekinie kapitalistycznym.

Wanda Chylicka  
Fot. H. Soczkiewicz

Epoka saska do której przynosi nas nowy utwór Wandy Chylickiej, nie znalazła, jak dotąd, należnego sobie miejsca w naszej literaturze, szczególnie zaś w powieści historycznej. Bez przesady można powiedzieć, że „Saskie ostanki” Krzeszowskiego stanowią wciąż najbardziej wartościową artystycznie pozycję. A szkoda. Mało jest w dziejach Polski tak węższych punktów, w których walka starego z nowym decyduje na długie lata o naszej przyszłości politycznej, społecznej i kulturalnej. Z jednej strony rozkład społeczny i moralny ogromnej większości szlachty, z drugiej — odrodzenie,

## W STRONĘ

a właściwie mówiąc narodzenie się zdrowej, postępowej myśli reformatorskiej, uosobionej niejako w życiu i działalności Leszczyńskiego i Konarskiego — oto temat, którego atrakcyjności dla powieściopisarza i dramaturga nie trzeba chyba udowadniać.

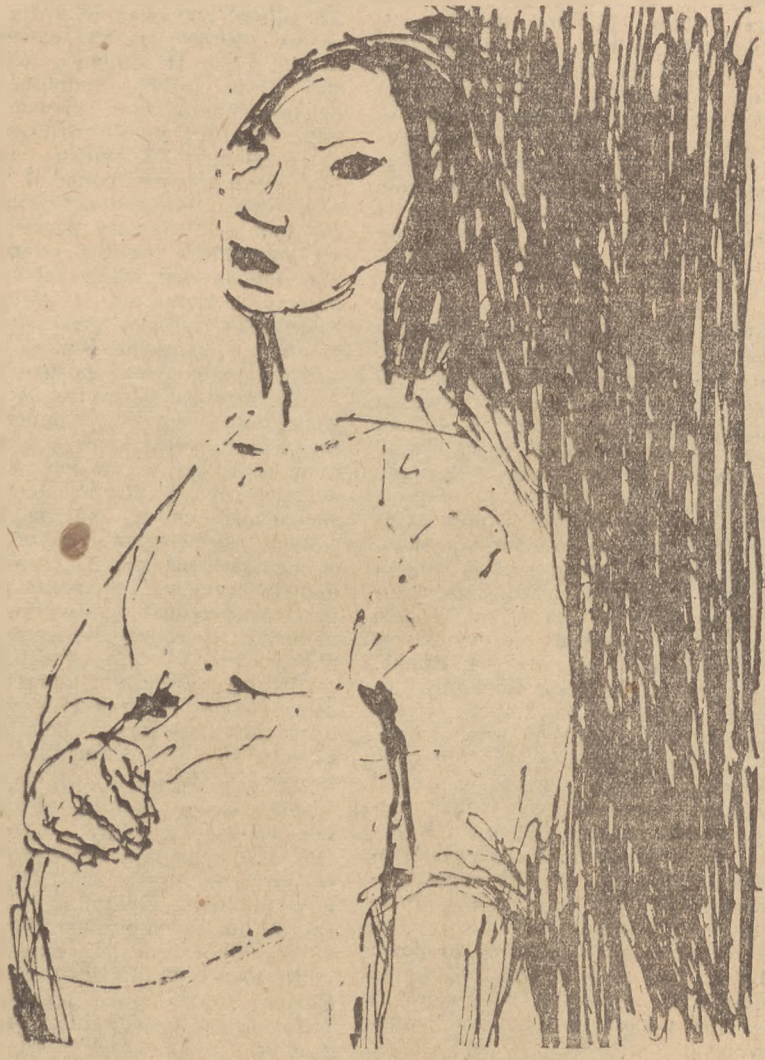
Nie więc dziwnego, że Leszczyński i Konarski pojawiają się na kartach powieści Chylickiej — jednakże tylko jako postacie epizodyczne. Ujęcie przez autorkę sylwetki króla-filozofa nie następuje w tym względzie wątpliwości, ale i twórca dzieła „O skutecznym rad sposobie” patroluje raczej, aniżeli angażuje się w tematyce i akcji powieści.

„Ucieczka i powrót” jest bowiem, a może raczej pragnie być, obrazem ówczesnej Polski widzianym poprzez „dzieję jednej, w zacięciu niejako typowej, rodziny szlacheckiej. Ojciec — zwolennik i czynny obrońca dawnego porządku, syn — wychowanek Collegium Nobilitum, w przyszłości może (dopowiadam) posłać na Sejm Czteroletni, córka — miłośniczką do plebejusza łamiącego niekiedy rygory szlacheckich konwenansów, wreszcie matka — trudna, a może i szczęśliwa całego życia oplacająca zrozumienie prawdy o świecie i obowiadzenie się po stronie dzieci, po stronie ich społecznych i etycznych racji, przeciwko mężowi i własnemu środowisku.

Z takiego artystycznego ujęcia problematyki widać jasno, że autorka „Ucieczki i powrotu” pokusiła się o danie odpowiedzi na naj-



# PIEŚNI POWSZEEDNIE



## PIOSENKA RYBAKA

Wieczorem rybacy słuchali piosenki młodego bosmana Iwaya:

Gdy burza zahaczy wiosła są jak dźwięki ciche i łagodne po których wiatru płomień przebiega czerwonym pazurem a potem deszczem fioletowym zachodzą płynące góry i wiosła są jak dźwięki zbitkane i smutne.

Wody ukochane — morze promieniejące roziskrzone za dnia w miewi krzyk. Pieśni naszych młodzieńczych marzeń śpiewa dziewczyna gętka jak bambusowy flet. A w porcie czekają uśmiechnięci handlarze niosąc ustom strudzoną orzechy niedojedzone. O morze... morze — miej nas w swojej opiece!

Gdy noc zapada (na niebie milczącym i dalekim) twarz tęsknie przykładam do wiosła i pieszczę spojrzeniem wiecznie młode oczy wody w których zatopiona rybacka wiosna budzi się, obmywa zmęczone powieki i ginie na maszcie jak zwiedziona światłem ćma O morze... morze —

W czasie wybuchu znajdował się na Oceanie Spokojnym, w rejonie Bikini okręt „Daigo-Fukuryu-Maru”, stutonowy, służący do połowu ryb. Znajdował się w odległości 150 km od Bikini. W 12 minut po godz. 4-tej nad ranem rybacy i załoga okrętu ujrzeli nagle rażąco silne światło, jakby dziesięć wschodzących słońc. (Z prasy)

tyś żywicielem Krainy Kwitnącej Wiśni a tak pięknej fali jak przy Suminoe nie znajdę na całym świecie!

Rok 1954, 1 marca bosman Iwaya znajdował się na Oceanie Spokojnym w rejonie Bikini. W dniu tym ukończył dwudziesty i ostatni rok życia.

Wieczorem rybacy przychodzą do przystani i słuchają szumi wiatr.

## WIŚNIOWY ŚPIEW

Ciepły wieczór błękitu jest drapieżnym ptakiem ciszy. Ciemno i słychać rozpylone szeptu rosy drżącej jak listki księżycy. Jesteś Hataye! Czekalem pod rozkwitłą wiśnią gdzie noce utrwaliły nasze dłonie i szumi twoim imieniem Tacutagawa. Hataye — ręce moje są pełne miłosnego cierpienia a wargi palą zielone tęsknoty nocy — Pójdźmy do ogrodów gdzie drzewa w białych płomieniach obsypią nasze włosy kwiatem... Tyś myślą moją — barwą mojego głosu. Dłonie twoje jak żywica pachnąca piersi kształtne i słodkie jak banany. Podaj mi rękę... Dęby szumiące ześlizgnie Hataye kameliową kotysankę — ja jutro na daleki połów płynę lecz nim ryżowe pola w pełnię wejdą i łki zawiążą pieśń żabią wrócę a dom nasz będzie wonny jak gałązka pomarańczy.

Gdy okręt „Daigo-Fukuryu-Maru” wrócił do portu i Hataye ujrzala twarz swego chłopca, zakryła oczy dłońmi.

## PIEŚŃ KII O MATKACH

W wiecznie słonecznej przystani gdzie zakwitły tej wiosny czarno kasztany śpią brzemiennie matki z białymi oczami strudzone i zbitkane jak zniechęcone delfiny ukryte na dnie zatoki Naniwa. Matki bez dzieci — oddały przedwcześnie w szarym łuku zielone paki swego ciała — a teraz odwieczne tułaczki okryte pyłem białym z posiwiałymi oczami które spalił płomień złego świtu podbiegają do statków nadpływających z szklanej dali — nawołują swe nieznane dzieci po imieniu i roztopiają się w złotej fali.

## LAMENT DRZEW

O, przywróćcie nam naszą barwę oddajcie jasne konary czemu stopiliśmy się w bryły czarne jesteście oślepi i giniecie jak potworne larwy — czemu nie będziemy cieszyć się dniem?... O, przedświtowa godzino przekleć! Niebo stało się krwawą zorzą i weszło dziesięć słońc, dziesięć słońc czerwonych a potem wiatr spłynął kolorem szarym i parzył okwiecone pnie białozłotym krąkiem gasnąc na dalekim nieboskłoniu i zabrał nam krople liści jedyną nadzieję — a my stałyśmy bezradne patrząc gdy domy kwitną płomieniem i spływa człowiek w doliny zamglone i zlorzeczy słońcu i ziemi. O lądy nieznane i szerokie niechaj spadnie wasza zieleń na zwęglone wioski i naciągną ciepłe obłoki — my drzewa konamy śmiercią wodorową.



## DO LOTNIKA

Chociaż oczy ukryłeś wśród lasu ból matek wciąż słyszysz — dłońmi targa niepokój... te ręce nie zaznają ciszy.

## PRZESŁANIE LUDZIOM I DRZEWOM

Niechaj te słowa będą jednym z promieni zwykłego słońca, które wejdzie nad wioskami i morzem.

# HISTORII

Istotniejszy postulat stawiany literaturze naszych czasów — postulat typowości, a zarazem indywidualności elementów rzeczywistości przedstawianej w dziele literackim — zwłaszcza zaś typowości i indywidualności ludzi i stosunków między ludźmi.

Świadczy to dobrze o ambicjach pisarskich i koncepcji twórczej Wandy Chylickiej. Ale mówi to także o niepospolitych trudnościach realizacyjnych takiej koncepcji — trudnościach — powiedzmy to sobie od razu — nie przelamanych w zupełności przez autorkę „Splątanych korzeni”.

Można bowiem powiedzieć, upraszczać dla celów roboczych zagadnienie, że w „Ucieczce i powrocie” walczą ze sobą dwie odmienne techniki pisarskie, dwie różne tendencje twórcze: epicka i psychologiczna, jedna bardziej właściwa dla powieści historycznej, druga — dla współczesnej. Konflikt tych dwóch postaw pisarskich można było zresztą przewidzieć, zważywszy krótki czas dzielący „Ucieczkę i powrót” od „Splątanych korzeni”.

Porzucając aprioryzm sięgnijmy do dowodów. Temat powieści, jego umiejscowienie czasowe uwarunkowały niewątpliwie postawę epicką autorki wobec „Ucieczki i powrotu”. Wymagało to z jednej strony syntetycznego ujęcia zagadnienia, skrótu, a zarazem przekonującego artystycznie przedstawienia opisywanej rzeczywistości, z drugiej zaś — wytorzenia tak zwanego klimatu historycznego po-

legającego przecież nie tylko na — ogólnie uznawanym — realizmie szczegółów, ale i na — nie mniej istotnej — prawdziwie psychologicznej bohaterów.

W „Ucieczce i powrocie” tendencja epicka odbiła się przede wszystkim na kompozycji i akcji utworu. Chylicka stanęła tutaj przed niewątpliwie trudnym zadaniem zamknięcia długiego i brzemiennego w wypadki okresu historycznego w szcuple — bądź co bądź — ramy niedużej powieści. Powstał tu w szczególności problem dokonania wyboru zdarzeń do bezpośredniego opisu, wyboru, który nie mógł być w intencji autorki równoznaczny z podziałem powieści na szereg luźno łączących się ze sobą epizodów i obrazków. Owym wyborem tym postuluje niejako skwitowanie w pewien sposób momentów i zdarzeń nie działających się bezpośrednio przed oczyma czytelnika.

Nie jestem pewin, czy taka — używam tego terminu w braku lepszego — „wszystkoistyczna” postawa Chylickiej była w tym wypadku słuszną, a jeśli tak — czy wskazane było ograniczenie się do niewielkiego objętościowo utworu. Unikanie dłużyzn za wszelką cenę jest chyba również niebezpieczną skrajnością, jak i same dłużyzny — a zatem lepiej w nią nie popadać, chociaż miałoby się przed oczyma pokusę stworzenia powieści podobnej do „Oskarżenia” Schneidera.

Wybór faktów dokonany przez pisarkę dla bezpośredniego przed-

stawienia ich czytelnikowi jest dość znamienity. Chylicka ukazuje nam zdarzenia i epizody ważne dla historii osobistej bohaterów powieści, szczególnie zaś dla wątków erotycznych. Jednocześnie nie rezygnuje ona z opisu wydarzeń istotnych ze względu na swe znaczenie historyczne lub obyczajowo-społeczne; są one jednak potraktowane bądź w formie epizodów wiążących się dość luźno kompozycyjnie z całością (np. oddźwięk publicystyki Konarskiego wśród szarej szlachty), bądź też jako relacja przeżytych głównych bohaterów post factum (często używana mowa pozornie zależna). Taka koncepcja wywołuje niejednokrotnie zbyt gwałtowne „skoki” pomiędzy poszczególnymi częściami i rozdziałami powieści. W konsekwencji historia opisywanego społeczeństwa zostaje często niejako pokrzywdzona na rzecz dzieł osobistych postaci literackich. Fakty polityczne i obyczajowe zostają podane czytelnikowi „na surowo” w sposób zbliżający się niekiedy do suchej schematyzującej relacji (np. rozdział „Macki polipa”).

Czy poza tym uprzywilejowanie fikcji literackiej wobec tła historycznego wywołało dalsze mankamenty artystyczne omawianego utworu? Chylicka próbuje w swej powieści zrealizować postulat poetki epopei, zalecający rozbudowę jej akcji poprzez wielość wątków. Rzeczywiście, samych wątków erotycznych mamy w omawianym utworze aż trzy. Ale — z jednej strony — wskutek skrótości całego utworu większość wątków nie zdołała wyjść poza motyw dynamiczny — z drugiej zaś — jak już mówiliśmy — historia społeczeństwa nie zdążyła się w nich zawrzeć przeplęść z dziejami, jak najbardziej osobistymi, ludzi. Tu wię-

znowu zderzyły się dwie techniki: powieści historycznej i psychologicznej, złączonych raczej do monografii ludzi, aniżeli społeczeństwa.

I w jeszcze jednej sprawie okazało się, jak niewielki dystans — nie tylko czasowy — dzieli „Ucieczkę i powrót” od „Splątanych korzeni”. Idzie o język postaci utworu, kiedy zostają sam na sam ze swoimi myślami, innymi słowy o mowę pozornie zależną. Rzeczywiście trudno jest zachować perspektywę już nie wobec języka, ale wobec myśli przeszłych ludzi i jaśno subtelnie je archaizować. To też bohaterowie Chylickiej myślą i czują niekiedy tak współcześnie, że staje się to pewnego rodzaju anachronizmem. Myślę, że wrażenie to wywołuje różnica języków: mówionego i „myślanego” postaci — a zatem znów walka dwóch technik (tym razem językowo stylizacyjnych) na terenie całego utworu.

Te wszystkie zarzuty nie mają na celu przyniesienia ujemny rzemiosłu pisarskiemu Chylickiej i jej książce. Przeciwnie: świadczą one dobrze o ambicjach literackich autorki „Ucieczki i powrotu” i o niewątpliwym — o ile można to dziś docenić — jej talencie. Wartość dzieła ocenia się także poprzez jego błędy.

A oprócz tych „pozytywnych” błędów książka Chylickiej wnosi przecież istotne elementy do dorobku polskiej powieści historycznej, a szczególnie polskiej katechizacji i powieści historycznej. Rozpatrzmy je pokrótce.

Przede wszystkim w „Ucieczce i powrocie” został uwzględniony i podkreślony całkowicie obraz rzeczywistości społecznej czasów saskich. W utworze dochodzi do głosu poprzez dzieje pisarza dworskiego — Salka, klasa społeczna, naj-

bardziej wówczas uciśniona — chłopstwo. Ten nurt plebejski ówczesnego życia społecznego został przez Chylicką silnie uwidoczniony w sposób daleki od schematyzmu. Niewątpliwie — miłość dwójga ludzi z różnych klas społecznych kusiła do potraktowania jej w sposób naturalistyczny, lub też zgodny ze schematem społeczno-ideologicznym. Fakt, że Chylicka wyszła poza ten schemat, że w rozwiązaniu wątku skłoniła się zdecydowanie w stronę realizmu — jest niewątpliwie jej dużym osiągnięciem.

Równie ciekawe i pozytywne artystycznie jest wprowadzenie do powieści postaci Wilczewskiego, przyjaciela i krewnego ks. Konarskiego. Myśląc i mówiąc o postępowej szlachcie okresu przedstawianego ulega się zwykłej konwencji — schematowi pojęciowemu, uważając ją za jakiś monolit społeczny będący pod wpływem i rozkazami Konarskiego i Leszczyńskiego. Wilczewski jest — w ujęciu Chylickiej — śmiałym indywidualistą szlacheckim, idącym do reform ustrojowych własnymi drogami i — nie dochodzącym do celu, zbaczającym na bezdroża dekadencji. Wilczewski i młody wychowanek Pijarów — Bernard — oto uwidoczniona przez Chylicką różnica między starymi i nowymi — tym razem reformatorami.

Wydać się również, że słusznie w rzeczywistości społecznej omawianej książką został pokazany Stanisław Konarski. W krótkich, ale wyrazistych migawkach widzimy go w zetknięciu z różnymi ludźmi, o różnych postawach życiowych. Dla Chylickiej postać Konarskiego, jego prace publicystyczne są jak gdyby zaczynem fermentu zmuszającego innych do za-

jęcia wobec nich jakiegoś stanowiska, do wyjścia ze stanu myślowego i życiowego bezwładu. Taka wizja artystyczna Konarskiego jest w zasadzie słuszną i przekonującą — pewne jej braki wynikają z o-mówionego wyżej antagonizmu dwóch technik pisarskich na terenie powieści.

Jako katolicka powieściopisarka historyczna określa Chylicką dostatecznie klimat etyczny panujący w „Ucieczce i powrocie”. Autorka nie uległa pewnej — widocznej zwłaszcza w pierwszym rozdziale — skłonności do naturalizmu. Konflikty moralne, dotyczące szczególnie etyki miłości i małżeństwa, rozwiązuje ona w sposób zgodny ze światopoglądem katolickim, a w dodatku — nieschematycznie. Tutaj pisarce oddała dużą rolę technika powieści psychologicznej, szczególnie nadająca się do szkicowania konfliktów natury moralnej. Problem wierności małżeńskiej i zagadnienie miłości do człowieka wolnej od przesądów klasowych — oto sprawy, które trzymają w napięciu uwagę czytelnika przez cały niemal tok powieści. Tym wartościowsza więc staje się postawa moralna Chylickiej wobec tych zagadnień.

„Ucieczkę i powrót” dzieli od „Splątanych korzeni” duży krok naprzód. Wanda Chylicka dała nam, mimo pewnych niedociągnięć, ciekawą, nie pozbawioną głębszych wartości ideowo-artystycznych powieść historyczną. Niemniej wydaje się, że głównym warunkiem dalszego rozwoju jej talentu jest żmudna praca pisarki nad sobą, doskonalenie techniki powieściowej i — *last not least* — coraz, kłórego wykonanie tych zadań wymaga-



# Visitez le Congo Belge



Zamiast szkoły...

**Z WIEDZAJCIE** Kongo Belgij-skie. Na bluszczącej okładce prospektu kolorowy, tłusty drukiem wytłaczany obrazek: Murzynka z zapieczonymi pasemkami włosów, przypominającymi warstwicę na mapie, trzyma na ręku pucolowate dziecko. W prawym rogu fotomontażu antylopa, nad jej głową odjeżdżający samochód — symbol nowoczesnej cywilizacji w sercu Afryki. Nad tą całą mozaiką nekujących widoków dymi stózek wulkanu.

Przeładowany prospekt... i przed oczami defilują Murzyni z długimi tykami, którymi odpychają od brzegów jeziora lodzie wyłożone z jednego pnia drzewa. Rozłożyste wachlarze palm obramowujących szpasy, wspaniała panorama jezior i groźnych szczytów górskich. Tańczący Pygmeje. Słonie służące jako zwierzęta pociągowe. Goryle wśród gajów bambusowych. Palmy, palmy i jeszcze raz palmy. Małpy zawieszane ogonami na gałęziach drzew. Wojownicy plemienia Watuzi, z napiętymi łukami. A ponad tym wszystkim dymiące wulkany, płynąca lawa, ogień...

Nie fantazjujemy — pokazujemy tylko jedną stronę medalu, piękne, malownicze Kongo, to drugie — odkładamy na później. Kongo, to kraina wulkanów, jezior i... najmniejszych ludzi na

świecie — Pygmejów Bambuti. Pod koniec ubiegłego stulecia nie o nich nie wiadomo. Dopiero ostatnie badania wykazały, że Pygmeje tworzą osobne plemię całkowicie różne od reszty czarnej ludności Afryki. Pygmeje Bambuti należą do najmniejszych na świecie plemion karłowatych. Wzrost dorosłego Pygmeja waha się od 120 cm do 150 cm. Pygmeje Bambuti zamieszkują dzunglę Ituri we wschodniej części Kongo na obszarze o powierzchni ponad 120 tys. km. kw. — a więc około 1/3, powierzchni Polski. Tutaj prowadzi koczownicze życie około 25.000 Pygmejów dzielących się na trzy grupy językowe; są to szczepy: Aka, Basua — którzy zachowali archaiczny język bantu — i Efé. Badania jednego z najlepszych znawców wszystkich żyjących plemion karłowatych na świecie, Pawła Szestę, przyniosły przed ćwierćwieczem niespodziewane odkrycia dotyczące ustroju plemiennego i sposobu życia Pygmejów Bambuti. Przede wszystkim okazało się, że Pygmeje afrykańscy nie wymierają, ich przyrost naturalny jest niezmierny, lecz stały. Przyrost naturalny byłby większy, gdyby nie bardzo niesprzyjające warunki życia; śmiertelność wśród dzieci jest duża, większość umiera na zapalenie płuc. Pygmeje Bam-

buti należą do jednego z nielicznych w Afryce plemion uznających jednożenstwo.

We wschodniej części Kongo, w pobliżu granic Ugandy, znajduje się wielki rezerwat zwierzyzny. Założył go w roku 1925 — po zwiedzeniu amerykańskiego parku narodowego "Yellowston" — król Belgii Albert I. Rezerwat ten zwany "Parkiem Alberta" jest jednym z najwspanialszych w Afryce. Nazwa "park" jest dość zabawna dla obszaru zajmującego kilka tysięcy kilometrów kwadratowych powierzchni. Na tym obszarze żyje 500 słoni, 6000 hipopotamów, 200 bawołów, 200 lwów, 4000 gazeli i antylop i bardzo wiele innej zwierzyzny i rzadkiego ptactwa. W lasach na pograniczu Ugandy żyje ponad 10000 goryli, znajdujących się pod ścisłą ochroną. W ostatnich latach władze Kongo zezwoliły na odstrzał tylko jednej sztuki przeznaczonej dla Muzeum w Brukseli. Goryl ten ważył 250 kg, miał ponad 190 cm wzrostu, w "tali" liczył sobie 1,5 m!

Ale przedźmy od poezji do prozy, od egzotycznych obrazów do konkretnych wiadomości o tym olbrzymim kraju bogactwa i nędzy, zwanym Kongo Belgijskie.

**I NICJATOREM** kolonizacji Kongo był król belgijski, Leopold. Głównymi rzecznikami tej kolonizacji byli dziennikarz amerykański Stanley i właściciel niewolników — Tipu-tip, pozostający na służbie Leopolda, aczkolwiek Belgowie oficjalnie walczyli z niewolnictwem. Okupacja Kongo zaczęła się w roku 1881, a w cztery lata później parlament belgijski przyznał królowi Leopoldowi tytuł monarchy Niepodległego Państwa Kongo.

W wielkiej "krucjacie" do wnętrza Afryki brali udział żołnierze i kupcy. Ich drogę znaczyły wypalone wsie i setki zabitych Murzynów, którzy bronili swojej ojczyzny przed najazdem intruzów. Nie łatwo było Belgom zawiązać kraje. Ale rozgrywki polityczne i dyplomatyczne z czarnymi książętami i królami zrobiły swoje. Ludy Kongo zostały ujarzmione. Było to jarmaz podwójne — ze strony obcych najęźdźców i własnych naczelników i królów, którym biali interwencji dawali wyróżnienia, orderzy i pieniądze oraz pomoc zbrojną do walki z buntującymi się Murzynami.

Rozpoczął się tragiczny okres w historii Kongo. Słowo „kauczuk” stało się słowem przekleństwem. Polowania na niewolników rozpoczęły się na szeroką skalę. Handel i przemysł potrzebowały kauczuku. Całe okręgi zostały wyludnione. W lasach tulił się ludzie, którym handlarze niewolników obcięli dionie jako karę za ucieczkę z plantacji. Były to straszne czasy. Wyczyny kolonizatorów obrzucały cały postępowy świat. Leopold II umarł przekazując Kongo w spadek Belgii.

**D**RUGA wojna światowa na tropikalnych obszarach Afryki wprowadziła zasadnicze zmiany gospodarcze. Obecnie kapitał amerykański stara się pochłonąć kapitał pierwotnych okupantów tego terytorium, dla którego Kongo Belgijskie jest smacznym kąskiem. Węgiel, fosfaty, ruda żelazna, cynk, cyna, miedź, ołów, nikiel, kobalt, złoto, srebro, diamenty, uran, prócz tego rozwinięta hodowla bydła, olbrzymie plantacje kawy i herbaty, i rzadkie gatunki drzew, rośliny lecznicze, senes, chinina, skóry, produkty rolne — to wszystko waży jest gry. Więcej nawet — wartość życia nie tylko ludności tubylczej, ale nawet niedawnych sojuszników. Kopalnie diamentów w Kongo wyprzedzają obecnie kopalnie południowo-afrykańskie i dają 3/5 wydobycia diamentów w świecie kapitalistycznym, a jeżeli chodzi o diamenty przemysłowe — to nawet 9/10 wydobycia. Kongo daje 4/5 światowego wydobycia kobaltu, który ma wielkie znaczenie przy produkcji szlachetnych gatunków stali; cały niemal kobalt z Kongo jest wywożony do Stanów Zjednoczonych. Kongo zajmuje czwarte miejsce w światowym wydobyciu cyny.

W roku 1950 Stany Zjednoczone zmusiły Belgię do podpisania umowy gwarantującej przemysłowi amerykańskiemu przynajmniej 50 procent cyny wydobycianej w Kongo. Zasoby cyny w Kongo obliczane są na 7 mil. ton. Pod względem wydobycia miedzi Kongo zajmuje piąte miejsce na świecie. Potężny koncern Union Minière du Haut Katanga (Towarzystwo Górnicze Górnej Katangi) jest największym producentem miedzi na świecie. Nikt nie osiągnął dotych-

czas poziomu produkcji tego Towarzystwa. Dlatego konkurenci nazywają to „skandalem w Katan-dze”. Union Minière powstało w roku 1906 w kilka lat po odkryciu w najbardziej wysuniętej na południe prowincji nowopowstałego „Niepodległego Państwa Kongo” — Katandze olbrzymich pokładów rudy miedzi. Dzisiaj obraca ono kapitałem poraż 4 miliardy franków belgijskich, a zyski jego z roku na rok wzrastają; zyski osiągnęły w ciągu roku są niemal równe kapitałowi zakładowemu.

W roku 1922 odkryto w Szinkolobwe koło miasta Jadotville złoża rudy uranowej. Obecnie kopalnie w Szinkolobwe dają ponad 90 proc. wydobycia uranu w świecie kapitalistycznym. Ruda z Kongo zawiera od 60 do 80 proc. uranu, podczas gdy np. ruda z Kanady zawiera uranu tylko 30 — 40 proc. Już w czasie drugiej wojny światowej, gdy tylko rozpoczęto w USA doświadczenia nad produkcją bomby atomowej, rząd amerykański wymusił od rządu belgijskiego całkowity monopol na wydobycie i wywóz rudy uranowej z Kongo. Od tego czasu ścisła tajemnica otacza wszystko, co dotyczy wydobycia w kopalniach Szinkolobwe. Urzędowo podaje się 7000 ton rudy uranowej jako wywóz w skali rocznej. Prawdziwych jednak danych dotyczących wywozu nikt poza zainteresowanymi nie zna. Wiadomo tylko, że eksport rudy uranowej do USA stale rośnie. Duże ilości rudy uranowej wywozi się przez portugalską Angolę do portu Lobito nad Atlantykiem, a stamtąd deklarując przesyłkę jako złom (!) — już wprost do Stanów Zjednoczonych.

Kopalnie rudy uranowej w Szinkolobwe są własnością belgijskiego koncernu Union Minière du Haut Katanga, tego samego, który posiada większość kopalń miedzi, niklu, cynku, kadmu; który jest właścicielem wszystkich kopalń kobaltu w Kongo itd. Koncern ten jest finansowo zależny od monopolu belgijskiego Société Générale, który jest niekoronowanym królem Kongo. Do niedawna 40 proc. akcji koncernu Union Minière należało do angielskiego koncernu Tanganyika Concessions Ltd i teraz imperialiści amerykańscy do spółki z imperialistami belgijskimi rządzą w Katandze.

Penetracja kapitału amerykańskiego bezpośrednio lub pośrednio (poprzez Société Générale) jest z roku na rok coraz większa. W Kongo trudno jest dzisiaj powiedzieć, czy za uran płaci się złotem, czy za złoto uranem. W każdym jednak razie w żadnym kraju Afryki nie ma tylu towarów amerykańskich, co tutaj. Amerykański kreał do golenia, amerykańskie aparaty fotograficzne, amerykańska guma do zucia, amerykańskie Cadillaci, wszystko jest MADE IN USA.

Rząd belgijski po opracowaniu 10-letniego planu zwiększenia wydobycia surowców strategicznych w Kongo zwrócił się o „pomoc” do Waszyngtonu i bankierzy amerykańscy pośpieszyli oczywiście z pożyczkami na „rozwoj Kongo”; m. in. pożyczka udzielona przez USA w czerwcu 1951 roku wyniosła 15 milionów dolarów. Bank Kongo Belgijskiego został opanowany przez amerykański kapitał inwestycyjny. A ponieważ bank jest prywatny, współpraca z kapitałem amerykańskim została nawiązana bez zbędnych formalności.

Prywatne towarzystwa handlowe i kapitał amerykański potrzebowały robotników. Potrzebowali ich pilnie, ponieważ w kraju, który ma tylko 11 milionów ludności. Tak niska liczba ludności jest dziełem handlarzy niewolników, gdyż w ciągu dwóch dziesięcioleci na przełomie XX wieku zgineło lub wymigrowało ponad 7 milionów osób. Dlatego teraz przynajmniej osiem, głównie pewnej części robotników, różne udogodnienia. Przede wszystkim robotnikom przemysłu hutniczego i górnictwa. Prowincja Katanga jest właśnie jedynym okręgiem Kongo, gdzie widać trochę wyższy poziom życia; szkoły, szpitale i lecznice. W okręgach przemysłowych imperialiści przejawiają pewną troskę o utrzymanie robotników, ale wieś żyje w wielkiej nędzy. Rozprzestrzenienie się różnych chorób (60 tys. trędowatych!), śmiertelność wśród dzieci sięgająca 60 proc., prymitywne metody pracy na roli, nędra i gład, panowanie feudalistów i wpływ domorosłych czarodziejów, 93 proc. analfabetów — oto skutki bezwzględnej wyzysku ludności wiejskiej Kongo. A przy tym słychać, o ironio, głosi rząd belgijski, że wszystko czyni się dla dobra tubylczej ludności.

Mówi się o szkołach, szpitalach, urządzeniach socjalnych. Jednakże tak oto wyglądają urzędowe dane statystyczne Kongo: na 11 milionów ludności jest tylko 464 lekarzy, 27 farmaceutów, 921 felcerów, 28 techników dentystycznych, 21 dentystów i 48 aptek. Praktycznie oznacza to, że jeden lekarz przypada na 20 tysięcy ludzi. Lecznią z małą liczbą łożek i szpitali i większą liczbą łożek jest ogółem 1816. Z tej liczby szpitali w prawdziwym znaczeniu tego słowa jest tylko 46. I to Kongo Belgijskie ma większą liczbę białych i czarnych pielęgniarek niż na przykład Francuska Afryka Zachodnia. Lecz ilość ich nie wystarcza absolutnie do obsłużenia chorych, choćby z tego względu, że większość ich jest zatrudniona w okręgach przemysłowych. Okręgi rolnicze — których obszar większy jest od całej Belgii — pozabawione jakiegokolwiek pomocy lekarskiej — są tak samo zafasani i zaniedbane, jak przed dziesiątkami lat.

Do szkół, przeważnie niższego stopnia, uczęszcza obecnie 971 tysięcy uczniów, czyli jedna trzecia dzieci w wieku szkolnym. W tej liczbie włączone są także dzieci osadników europejskich. I znów to samo: w głębi kraju i w okręgach rolniczych 93 proc. dzieci w wieku szkolnym znajduje się poza szkołą. Czesne jest tak wysokie, że ubodzy chłopcy nie mogą go opłacić, a poza tym nie mieliby dokąd swoich dzieci posyłać. Niewielka liczba szkół misjonarskich, w których dzieci uczą się czytać i pisać, zupełnie nie wystarcza.

Ludność Kongo Belgijskiego, która znosi ciężki, wciąż wzrastający ucisk — w okręgach przemysłowych wyraża się on w obniżaniu płacy i zwiększaniu się podatków — zaczyna nadstuchiwać głosów rozlegających się z innych części Afryki. Są to głosy sił postępowych jeszcze nie zorganizowanych w partii postępowej, a także głosy drewnianych bębnow telegrafu afrykańskiego, które na terytorium całego Kongo rozgłaszają wieści o walkach o wolność toczonych w zachodnich częściach Afryki, w Tunisie, Algerze i Maroku, w Afryce Południowej i w Kenii. Tych głosów usłuchany lud Kongo uważnie słucha, ponieważ przyniosą one zapowiedź wolności, która dla Afryki nieustannie się zbliża i której nie powstrzyma ani ucisk gospodarczy, ani terror polityczny.

## SERCE PRZEPOŁOWIONE

(Dokończenie ze str. 1.)

cena biedna, krótkowzroczna, wynikająca z jakiegoś „naturalistycznego” pojmowania polityki. Sądzę, że z takiego rozumowania wyleczyła wielu konferencja berlińska, a bardzo już wielu — genewska. Dlatego też zakończenie konferencji genewskiej, które nastąpiło w czasie pobytu delegacji polskiej w NRD, zakończenie — uwięzione sukcesem idei pokoju, zostało przyjęte w Niemieckiej Republice Demokratycznej z wielką radością. Jakkolwiek więc na konferencji genewskiej zostały uzgodnione tylko sprawy rozejmu w Wietnamie, bez jakiegokolwiek rozwiązania sprawy niemieckiej, to wielu już Niemców zdaje sobie doskonale sprawę, iż droga do zjednoczenia Niemiec wiedzie między innymi przez sprawę Korei i przez problem Wietnamu. Napisałem „wielu Niemców”, gdyż są i tacy, którzy nie wyleczyli się jeszcze z choroby „strasznych mieszczan” zapartych tylko i wyłącznie we własną snobistyczną pustotę, mieszczan uwielbiających Goethe'owski Weimar a nie wiezających w Buchenwald, jakkolwiek z Buchenwaldu do Weimaru jest tylko dziesięć kilometrów. Niemiecy koledy wskazywali mi podobne przykłady i opowiadali o walce, która toczy się o przebudowę prusko-mieszczkańskiej mentalności „szlachetnych” Bürger. Wydaje mi się, że na tym polu mamy większe osiągnięcia, jakkolwiek i u nas nie brak jest ludzi o dość balamutnej, jeśli nie reakcyjnej świadomości, ludzi, którzy wierzą jeszcze, że biały koń nie zdechł wraz z ideologią swego pana.

Ciekawe jest, że właśnie taki przekrój społeczno-polityczny zbliża do siebie bardziej tych ludzi, którzy są różnej narodowości, wyznania, języka. Np. w rozmowie z nadburmistrzem Poczdamu, Promnitzem, toczony zresztą w dość egzotycznym towarzystwie, gdyż delegacji z Ulan Bator, z Mongolii, usłyszałem takie ciekawe sformułowanie: „Jest tragedią rozbitego na dwie części narodu niemieckiego, że bardzo często ludzie innej narodowości, np. Rosjanie, Polacy. Czesi są bliżsi Niemcom z NRD niż ich własni rodacy z Niemiec zachodnich”. W tym wypadku chodzi właśnie o tych „rodaków”, którzy popierają Adenauera i EVG. Czy nadburmistrz Promnitz miał rację? Pytanie jest chyba retoryczne.

### SERCE ŚWIATA

Poprzedni rozdział zacząłem od zdania, w którym napisałem o Niemczech, jako sercu Europy, zrzucając odpowiedzialność za ten patetyczny tytuł na swych niemieckich kolegów. Aby nie być złośliwym „podeprę” swe twierdze-

nie dowodem z... filmu. Jednym z najciekawszych filmów niemieckich zachodniej produkcji jest film, postępowej wytwórni — Progress Film — Vertrieb GMBH — pt. „Herz der Welt” — Serce świata. Film zasługuje na wzmiankę nie tylko dlatego, że został wyprodukowany w zachodnich Niemczech i zdążył już stracić tam prawo do wyświetlania za swe pokojowe tendencje. Zasługuje przede wszystkim dlatego, że jest jednym z tych malenkich grzybków — drożdży, które powodują ferment społeczno-polityczny w narodzie niemieckim. Trudno tutaj, w ramach tych garści wspomnień i uwag przeprowadzać pełną analizę filmu, podając dokładnie jego treść. Postaram się ująć ją w kilku zdaniach.

Bohaterką filmu jest baronowa austriacka Bertha von Suttner, która po śmierci swego narzeczonego, młodzieńczego lejtnanta armii austriackiej, zabitego w wojnie o Schleswig-Holstein, poznaje klamstwo o „pięknej” śmierci za ojczyznę. W życiu jej zachodzi zdecydowana zmiana. Z dawnej pusty panny dworskiej przeobraża się w kobietę, która poświęca się walce z wojną, z mordowaniem ludzi w imię ideałów, w rzeczywistości stanowiących tylko fikcję — frazes. Będąc sekretarką Nobla usiłuje skłonić go do zaniechania publikowania i sprzedaży patentu na produkcję dynamitu. Jest to jednak rok 1870 — okres napięcia stosunków między Francją i Prusami. Burzący rząd tych państw szuka nowych środków zniszczenia. Wynalazek Nobla dostaje się dzięki pośrednictwu znanego spekulanta i handlarza bronią, Bazylego Zacharowa, w ręce walczących państw. Jest to pierwsza i nie ostatnia porażka Berthy von Suttner. W r. 1905 zostaje odznaczona nagrodą Nobla za walkę o pokój. Jej współautorkami są — w dziedzinie nauki — Koch, literatury Henryk Sienkiewicz. Film kończy się sceną z roku 1914, gdy już jako staruszka, Bertha von Suttner przybywa do jednego z miast, aby wygłosić mowę przeciw trwającej wojnie. Orientuje się, że jedynym jej słuchaczem jest... Bazyl Zacharow, który chce udaremnić skuteczność jej wystąpienia, wykupił całą salę. Bertha von Suttner jest więc zdołna powstrzymać idących na front młodych żołnierzy, tak bardzo podobnych do jej dawnego, młodzieńczego narzeczonego, do męża, który zmarł z ran i konuzji, odniesionych w czasie wojny. Zwyciężył Bazyl Zacharow — przedstawiciel kapitału, który przekupił sumienia ludzkie.

Zupełnie nie jest dziwne, że wyświetlanie tego filmu jest zabronione w Niemczech zachodnich. Można się natomiast wydawać dziwne, że został tam wyprodukowany. Są bo-

wiem w nim zbyt wyraźne analogie, szczególnie jeśli chodzi o osobę Nobla i Zacharowa z amerykańskim imperializmem. Równocześnie jednak widać wyraźnie różnicę w pozycji i stanowisku drugiego obozu — walczącego o pokój. Obecnie obozu pokoju nie stanowi — baronowa von Suttner, reprezentująca tendencje pacyfistyczne, szlachetne z punktu widzenia humanistycznego, lecz nierealne, można nawet powiedzieć, że utopijne, z powodu błędnych założeń społecznych. Ten moment nie został w filmie wydobity. Być może, że sami twórcy jak i reżyser — Harald Braun, nie zdają sobie sprawy z istoty problemu. Kreacje aktorskie są świetne — nie ma ról banalnych, sztywnych. Główną rolę odgrywa Hilda Krahl, jedna z najlepszych artystek Niemiec zachodnich.

Film cieszy się ogromnym powodzeniem w NRD. Edward von Winterstein znany w Polsce ze świetnej kreacji prof. Sonnenbrucha w Niemczech — Kruczkowskiego, aktor i reżyser, laureat nagrody państwowej w NRD, wyraził się o nim tak: „Życzę filmowi „Serce świata”, aby targnął sercami wszystkich ludzi, którzy są dobrej woli i walczą przeciw wojnie o utrzymanie pokoju”.

Oby takich filmów i ludzi w Niemczech zachodnich, którzy go tworzą i rozumieją, było jak najwięcej. Dlatego też można im wybaczyć patetyczny tytuł, niedopracowane ideologiczne i niekonsekwencje społeczne. Jest to film, który prowadzi Niemcy z Buchenwaldu do Weimaru, ale nie odwrotnie.

### DROGA ZBLIŻENIA

Mimo tytułu ważnych wydarzeń, które dominowały w czasie obchodu Tygodnia Kultury Polskiej w NRD, uroczystości poświęcone wyłącznie problematyce polskiej i przyjaźni polsko-niemieckiej odbyły się w całej prawie Niemieckiej Republice Demokratycznej, w miastach, zakładach przemysłowych, obozach pionierskich. Można zupełnie śmiało powiedzieć, że najlepszym ambasadorem naszej rodzimej kultury jest taniec i muzyka. Tak też należy pojmować sukcesy Szymonowicza i Woytowiczówny podczas ich tournée po NRD, jak i serdeczne przyjęcia, zgotowane amatorskiemu zespołowi pieśni i tańca im. Strzelczyka z Łodzi. Chodzi tu o to, że oklaskując występy naszych wybitnych wirtuozów, publiczność niemiecka dawała wyraz swemu uznaniu nie tylko dla ich artysty, ale w ogóle dla muzyki i pieśni polskiej.

Oprócz tych delegacji, których występy nosiły charakter czysto estradowy, bawiła w NRD delegacja kulturalna, składająca się z przedstawicieli świata naukowego, tea-

tru, prasy polskiej, nauczycielstwa, związków zawodowych. Spotkania tych delegatów z niemieckimi naukowcami, literatami, działaczami społecznymi i politycznymi pozwoliły na wymianę poglądów i nawiązanie bezpośrednich kontaktów. Swobodna rozmowa bez sztywnego, urzędowego charakteru, który cechuje wizyty „oficjalne”, szalenie pomaga do zbliżenia i wzajemnego porozumienia się. Dlatego też należy przykładać do rodzaju wymianom kulturalnym, organizowanym ze strony polskiej przez Komitet Współpracy Kulturalnej z Zagranicą i odpowiadającą mu komórką w NRD.

Gospodarze przygotowali, oprócz tych półoficjalnych spotkań szereg imprez: np. opera drezdeńska wystawiła w tym czasie „Bunt Zaków” Szeligowskiego a w wielu miastach, niezależnie od występów polskich artystów, odbyły się koncerty, akademie i występy artystów niemieckich, poświęcone kulturze i sztuce polskiej.

Oceniając na gorąco znaczenie i wyniki Tygodnia Kultury Polskiej w NRD trzeba podkreślić, że taka forma nawiązywania i umacniania współpracy między dwoma krajami jest jak najbardziej słuszną. Jest ona trafna dlatego, że dotyczy przede wszystkim tych narodów, które od wielu wieków, ulegając błędnej, szowinistycznej polityce swych rządotwórców, burżuazyjnych a potem faszystowskich, stały zawsze naprzeciw siebie z wydobytymi mieczami. Naród polski szczególnie boleśnie doświadczył rązów od hitlerowskiego miecza. Poznając obecnie NRD widać też i tam ślady faszystowskiego reżimu. Znaczy to, że miecz hitlerowski nie opuścił i swej ziemi, tnąc i paląc nie tylko to, co było mu obce dlatego, iż było polskie, czeskie, francuskie, ale dlatego, że było mu obce — duchem, ukształtowaniem społecznym, humanistyczną treścią. Hitlerizm potrafił tak dalece wycięć postępową, humanistyczną twórczość niemiecką, że jeszcze obecnie spotyka się w Niemczech ludzi i to ludzi wykształconych, którzy dopiero teraz z polskich ust, deklamujących im fragmenty wierszy Heinego, dowiadują się o istnieniu swego wielkiego poety!

Dobrze jest, że jeździmy do kraju, który stoi obecnie przed ważnym problemem jedności swego narodu. Nasz dorobek kulturalny i gospodarczy, dzwignięty z wojennych grupów, wskazuje Niemcom drogę. Droga ta prowadzi do Weimaru, gdzie powstawały genialne, przetrastające wartość jeden naród, można powiedzieć, że ogólnoludzkie dzieła Goethego i Schillera. Tego wyboru naród niemiecki musi dokonać i wierzymy, że dokona go trafnie.

Zbigniew Czajkowski



Taniec wojenny



SCHYLEK sezonu teatralnego przyniósł w Poznaniu dwie in-

tyczas lotu, zarazem jednak nale-

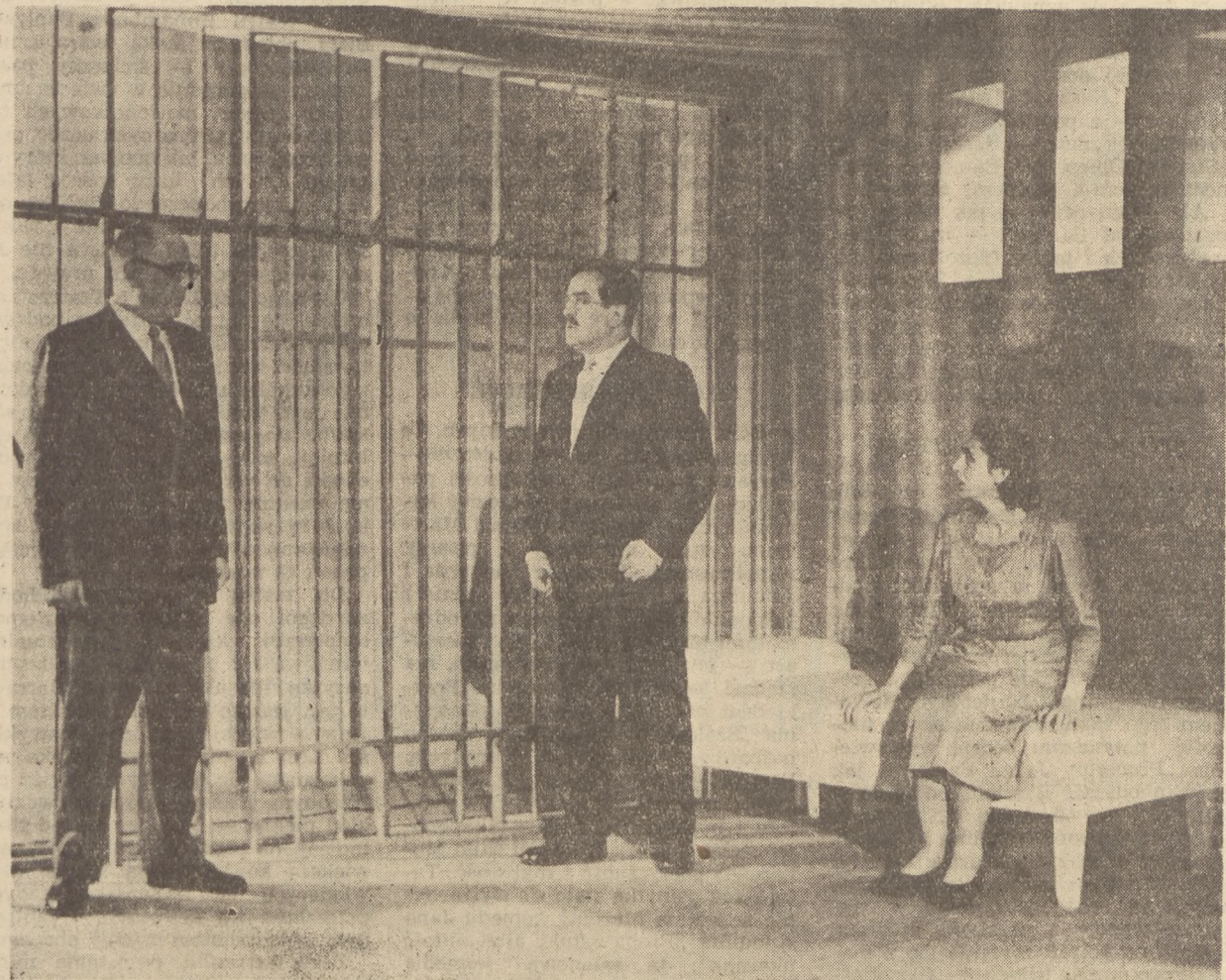
scy oni, wprost czy pośrednio,

odejść w wyższe, rozległe regiony.

W mniejszym stopniu udało się

Kreacja wysokiej miary, kreacja

Scenografia Z. Bednarowicza



Scena ze sztuki „Juliusz i Ethel“ L. Kruczkowskiego

nazwą „Pieśń miłosna Schuberta“

dramat polityczny i drugi, cichszy,

już na elektryczne krzesło, lecz

ZAMKNIĘCIE sezonu scenicznego

Wstępnie bledy wynikające z

O ile zalety minionego okresu

Jakież to drugi cichszy dramat

Ostatnie słowa Rosenbergowie

„szczęśliwy proces“ zamiast „ucz-

Nr 12 „Teatru“ przyniósł frasz-

WACŁAW GLUTH-NOWOWIEJSKI

Sprawy pozornie małe

KIEDYS przed laty pięćdzie-

strużka Wisły, w Warszawie,

stawień reprezentowanych pięć-

Echo tych nastawień pokutuje

Z tych wszystkich względów

Gość skandyński obserwujący

Tyle z anegdoty. Smiejemy się

Stosunkowo niedawno War-

Redaguje Zespół. Przemierza in-

Tym razem — nie tyle o nowych

Po pierwsze — warto zwrócić uwagę,

Dobłą formą wzbogacenia wiedzy

BRAKORÓBSTWO WYDAWNICZE

Wśród przekładów postępowych

Powracając do samego przekładu

„szczęśliwy proces“ zamiast „ucz-

J. W. Gomulickiego nie zmieniają

Rzecz nader ważną dla poznania

Widać także rezultaty prasowej

„Już więcej nic nie widać“ zamiast

„przez szczyty“ zamiast „do ataku“

Publiczność domaga się bisów.

epoki Ludwika XIII i zwolna, do-



